

STANISŁAW LEM

CZŁOWIEK Z MARSA

1994

I

Ulica wrzała. Łoskot nadziemnych pociągów, klaksony aut, grzechot rozpedzonych trolejbusów, dzwonki sygnałów i potężny gwar ludzkich głosów kipiały w granatowym powietrzu, poprzerzynanym na strzępy ciemności snopami światła wszystkich barw i odcieni. Tłumy przelewały się na kształt węży bez końca, wypełniając szczelnie chodniki, jaskrawiejąc w kwadratach światła okien wystawowych i zapadając w półmrok domów. Świeżo zwilżony asfalt syczał pod setkami opon samochodowych. Oślizłe czarne i srebrne cielska długich maszyn migwały jedne za drugimi.

Szedłem wtłoczony w tłum, stanowiąc jego cząstkę nierozdzielną, bez celu i myśli, dając się unosić jak korek fali.

Ulica dyszała, mruczała i huczała, oblewała mnie potoki światła i smugi ciężkich woni perfum kobiecych, czasem owiewał ostry dym południowych papierosów, czasem słodkawy, duszący opiumowanych cygar. Po fasadach domów wspinały się w obląkańczym tempie neonowe litery gasnących i zapalających się reklam, tryskały fontanny światła, migotały szaleńcze wypryski rac i ogni sztucznych, opadając ostatnim błyskiem na głowy tłumu.

Szedłem pod olbrzymie, rozjarzone rzeźbiście portale, pod ciemne sklepy, pod wyniosłe kolumny jakichś gmachów nieznanymi, wbity w ruchliwą, wielojęzyczną, ani na chwilę nie zamilkającą masę ludzi, a jednak samotniejszy niż na wyspie bezludnej. Dłoń machinalnie pobrzękiwała w kieszeni dwiema pięciocentowymi monetami, które stanowiły cały mój majątek.

Na skrzyżowaniu trzech wielkich ulic, których kamienne paszcze wyciągały się w dal szczytami malejącymi w perspektywie, a upstrzonymi regularnym kręgosłupem—mozaiką lamp, oddzieliłem się od tłumu i stanąłem na krawężniku.

Tłumy przepelzały przez jezdnię jakby wyrzucane z jakiejś gigantycznej śluzy, zależnie od koloru zapalających się światła. Na zmianę z nimi huczały, wyły, mruczały motory wielkich aut, gwizdząc od czasu do czasu rozdzierająco hamulcami. Przebiegający kolporter wetknął mi do ręki jakąś niepotrzebną gazetę, którą kupiłem, żeby się od niego odczepić, wsadziłem ją za mankiet rękawa i patrzyłem dalej.

Tłum był właściwie coraz inny, ale zawsze taki sam. Ulica wciąż tętniła w dwie przeciwne strony, przepuszczając przez swój asfaltowy przetyk porcje ludzkiej masy, jakby chewing gum, na zmianę z błyszczącym żelastwem samochodów.

Z cienkiej smugi jezdni zjechał nagle ogromny, lśniący cień i z cichutkim syczeniem opon zatrzymał się tuż przede mną. Był to olbrzymi buick, którego lewa przednia szyba opuściła się i z wnętrza rozległ się głos:

— Jaka to gazeta?

Równocześnie dłoń, odziana w ciężką rękawicę szoferską, wskazała na biały skrawek papieru wystający zza mego rękawa.

Pytanie to, sposób jego zadania, treść były oczywiście wysoce dziwne, ale życie nauczyło mnie nie dziwić się niczemu, zwłaszcza w wielkiej metropolii. Odpowiedziałem, wyciągając gazetę (gdyż sam nie znałem jej tytułu):

— „New York Times”.

— A którego mamy dzisiaj? Jaki dzień? — spytał ten sam głos.

Głupia ta zabawa znudziła mi się.

— Piątek! — odpaliłem na odczepne.

W tej samej chwili drzwi auta odskoczyły i głos powiedział:

— Proszę wsiadać.

Zrobiłem ruch, jakbym chciał się cofnąć.

— Go on! — rozległy się wyrazy wypowiedziane z taką siłą, że mimo woli usłuchałem.

Nie wiem, jak opadłem na miękkie poduszki — gdy drzwi trzasły i zaraz, jak w gangsterskich filmach, motor już ciągnął. Światła ulicy zadrgały, wyciągnęły się w pulsujące smugi — pomknęliśmy prosto.

Rozejrzałem się w aucie. Wnętrze było ciemne. Siedziałem sam na tylnym miejscu. Przedemną na tle niewyraźnie oświetlonej deski rozdzielczej i przedniej szyby widniały dwie bardzo podobne barczyste sylwetki męskie: kierowcy i jego towarzysza. Począłem się zastanawiać. Umysł mój był wprawdzie nieco nadwreżony dwudniowym przymusowym niedojadaniem, ale pracował dość sprawnie. Głód ten spowodował raczej pewną lekkość nadzwyczajnych decyzji i wysoką obojętność na zdarzenia zewnętrzne. Ale teraz — cóż się teraz właściwie działo. Maszyna wyjechała widocznie na jakieś wolniejsze ulice, gdyż motor zaczął pracować z tym charakterystycznym wysokim, śpiewnym tonem, z jakim ciągną wysokoobrotowe kompresory na pełnym gazie. Nagle, ostry skręt — hamulce, uderzone nagle, zaświszczały — wóz podskoczył kilka razy, zapadł się miętko na jakiejś jamie i stanął.

Drzwi nie otwarły się. Tylko kierowca zatrąbił, raz krótko, raz długo. Dwa razy zgasił duże światła, zapalił małe, a potem i te zgasił. Teraz staliśmy w egipskich ciemnościach.

— Cóż to za szopka, do diab... — zacząłem głośno, ale głos mój wypadł za słabo, gdyż uszy miałem jeszcze pełne szumu motoru i jazdy, zresztą w tej samej chwili przed nosem maszyny ukazał się czworobok bladego światła. Auto warknęło i ruszyło naprzód. Nagle uczułem, że podłoga opada. Aha! — pomyślałem — garaż podziemny — gdy już staliśmy.

Drzwi odskoczyły. Kierowca samochodu ukazał mi swoją twarz — ogromną, szeroką, o potężnych szczękach i brwiach, twarz zarazem suchą i mięsistą. Wysiadłem. Nogi stapały lekko — chodnik w tej podziemnej galerii był z tłumiącego dźwięki materiału. Potem otworzyły się jakieś boczne drzwi i ujrzałem salę, w której siedziało pięciu mężczyzn. Sala była nieduża, ciemnoniebieska, mężczyźni — siedzieli za małym okrągłym stołem — na mój widok wszyscy powstali i w milczeniu patrzyli na mnie, jakby czegoś oczekując.

Najniższy, człowiek w średnim wieku, ciemny blondyn o twarzy bladej, błyszczącej, jakby lekko nalanej, zwrócił się do mego towarzysza-kierowcy:

— To on?

Kierowca wydawał się tym pytaniem jakby zaskoczony, zawahał się, ale odpowiedział:

— Naturalnie.

Pytający skierował się teraz ku mnie, zbliżył się tak, że staliśmy naprzeciw siebie:

— Jaki dzień mamy dzisiaj?

Odpowiedziałem, teraz już zgodnie z prawdą, że środę — co wywołało jakby drgnienie, które przeszło przez wszystkich. Przez chwilę myślałem, że jestem wśród wariatów, ale nie zdążyłem się nawet przestraszyć, gdyż kierowca, człowiek atletycznej budowy, postąpił szybko naprzód i zaczął mówić:

— Mr Frazer — przysięgam — on powiedział: piątek. I miał „New York Timesa” na rogu Fifth Avenue.

— Co to ma znaczyć? — zapytał mężczyzna o bladej twarzy. — Skąd pan przybywa?

— Z Chicago — odpowiedziałem. — Ale może przyjdzie teraz na mnie kolej w zadawaniu pytań? Co ma oznaczać to zgromadzenie? I ta podróż zagadkowa autem?

— Nie wysilaj się pan — przerwał on lodowatym tonem. — Pańska kolej pytania jeszcze nie nadeszła. Czemu pan odpowiedział na pytanie, że mamy piątek?

Przyszła mi myśl, że jednak mam do czynienia z wariatami. Trzeba było być ustępliwym i łagodnym — gdzieś to wyczytałem.

— Jeżeli się dobrze zastanowić, to może i jest piątek — zacząłem. — Zwłaszcza według południka Greenwich...

— Nie pleć pan, do rzeczy. Czy ma pan list i narzędzia?

Milczałem.

— Tak... — powiedział przeciągle mój rozmówca. — No, ale zanim... zanim... więc musi

pan nam powiedzieć, kto pana wysłał. Z jakimi zamiarami pan przyjechał. I kto panu powiedział, co i jak ma zrobić, żeby się tu dostać.

Ostatnie słowa wypowiedział prawie sycząc, przy czym ukazał swe zęby, jeszcze bielsze, czy raczej bledsze, niż twarz. Inni stali wciąż nieruchomo, z oczyma wlepionymi we mnie, ni to grożąc, ni to oczekując.

Powoli coś mi się rozjaśniło. Jedno wiedziałem już: to nie byli wariaci. Nie, to ja byłem przeklętym, starym wariatem, który wlaź w jakąś ogromną, paskudną historię.

— Mój panie — zacząłem, ale jowialny ton zdawał się być mocno nie na miejscu, nadrabiałem jednak miną i brnąłem — jestem, to znaczy byłem reporterem „Chicago World”... Z pewnych względów zostałem zwolniony z pracy dwa miesiące temu... Szukając pracy, przybyłem do Nowego Jorku. Jestem tu już kilka tygodni, ale niczego nie znalazłem, a sposób, w jaki się tu dostałem, był, zapewniam pana, czysto przypadkowy. Wszak każdemu wolno mieć „New York Timesa”?

— I odpowiadać na pytanie o dzień tygodnia, że jest piątek, w środę... Czy tak?

Na słowa te, wypowiedziane po raz pierwszy przez wysokiego, chudego mężczyznę w binoklach, zwróciłem się ku niemu i zarazem zauważyłem, że drzwi były zamknięte. W ich framudze stał kierowca auta o twarzy masywnej, kamiennej, bez wyrazu i zapełniał sobą całe wyjście w sposób dokładny, ale dla mnie zgoła niepożądany. Zrozumiałem, że mi nie wierzą.

— Panowie — zacząłem — jest to głupi zbieg okoliczności... Proszę, dajcie mi odejść... Nic przecież nie wiem, nic nie rozumiem, nie wiem nawet, gdzie się obecnie znajduję.

— Pan się, zdaje, nie orientuje — powiedział powoli mężczyzna o błyszczącej, bladej twarzy. — Pan nie może stąd odejść.

— Teraz nie? A kiedy?

— Nigdy.

Kiedy to słowo padło, jakby coś zelżało. Wszystko było już teraz jasne — tamci czterej powoli, nie spiesząc się, siedli, zapalali papierosy nad małą lampką oliwną, a ja patrzyłem. Patrzyłem ze szczególną zachłannością na ich ruchy, na oświetlony jaskrawo pokój, na twarz stojącego przede mną człowieka, który wydawał na mnie wyrok. Powinienem chyba coś mówić? — myślałem — prosić, przekonywać, szczegółowo tłumaczyć? Objasniać? Ale kiedy spojrzałem w te oczy wyblakłoniebieskie, jakby dalekie, zrozumiałem, że każde słowo jest zbyteczne.

— Nie rozumiem nic — powiedziałem, prostując się. Byłem zmęczony i głodny. — Nie wiem, za co mam zginąć. Ani po co. Ale nawet ludożercy karnią swoje ofiary... Proszę, ja jestem głodny. — Po czym przystąpiłem do stołu, wyjąłem z kasety papierosa i zapaliłem nad płomieniem lampki.

W tej chwili zauważyłem, że mężczyźni spojrzeli na siebie, potem — nad moją głową — na tego, który ze mną mówił, jakby na ich przywódcę, i znowu zamarli w bezruchu. Prezes spojrzał na mnie. Wytrzymałem ten wzrok obojętnie. Drzwi były zamknięte masą cielską, które zatykało dostęp do kłamki, szacowałem je na dwieście funtów — byłem niewyspany, zmęczony, głodny — walka była daremna.

— Proszę dać mu jeść — powiedział bladej mężczyzna — i zaopiekować się nim. Ale dobrze!

To słowo skurczyło potężne plecy kierowcy. W milczeniu otworzył drzwi i dał mi znak.

— Dobrej nocy, panowie — powiedziałem i skierowałem się za nim.

Drzwi trzasnęły, wszedłem w półmrok korytarza.

W tej chwili chwyciły mnie za ręce dwie silne dłonie, rozległ się trzask i poczułem na przegubach zimne żelazo kajdanek.

— Tak się obchodzie z gośćmi? — spytałem, nie podnosząc głosu.

Szofer i jego niewidoczny w mroku pomocnik, który mnie skuł, nie wydawali się rozmowni. Jeden z nich dokładnie obmacał mi kieszenie, i nie znalazłszy w nich nic

podejrzanego, popchnął mnie lekko.

Zrozumiałem to jako zaproszenie na kolację. Szliśmy w egipskich ciemnościach dobrą minutę, nagle mój przewodnik stanął tak szybko, że omal nie wpadłem na wyrosłą zniecka, niewidzialną dotąd ścianę. Rozległ się głuchy szcęk i otwały się drzwi — prostokąt światła.

Nowe to lokum było podobne do skarbcza bankowego, albo raczej do wyobrażenia o skarbcu, jakie mają pilni czytelnicy powieści kryminalnych. Ogromne stalowe drzwi zatrzasnęły się za mną i moim przewodnikiem, zapadając potężnymi pazurami rygli w otwory framugi. Pokój był jaskrawo oświetlony nie osłoniętą, silną żarówką. Ściany tworzyły regularne szeregi stalowych drzwiczek o masywnych rękojeściach i licznych zamkach. Jedynymi sprzętami były stojące na betonowej podłodze dwa niziutkie krzesła, trójnożny taboret i mały stolik. Dziwnym było, że wszystkie przedmioty są ze stali. Zauważyłem to, dopiero gdy szofer przysunął mi nogą taboret: wydał on charakterystyczny dźwięk.

Siadłem, szofer podszedł do stolika, podniósł blat i wyjął z tak odkrytej szuflady kilka puszek konserw i długi biały chleb. Potem wyjął z kieszeni potężny scyzoryk, wyszukał odpowiednie ostrze, otworzył jedną puszkę, potem tymże scyzorykiem ukroił chleba, wreszcie począł znowu szukać po kieszeniach, aż wy dostał na światło kluczyk do moich kajdanek — właśnie wtedy, gdy myślałem, że będzie mnie karmił skrepowanego. Potem usiadł naprzeciw mnie, wpatrując się w moją dość jednostajną czynność. Kontemplacja trwała dopóty, aż się puszka opróżniła. Obejrzałem następną — były to homary (bardzo lubię homary) — i wyciągnąłem rękę: scyzoryk. Szofer rozciągnął nieco swą brązową masywną twarz, co miało być uśmiechem, kiwnął przecząco głową, wyjął scyzoryk i sam otworzył puszkę. Boi się mnie! — pomyślałem z zadowoleniem, gdyż ważył na pewno dwa razy więcej ode mnie. Kiedy puszka była pusta i osuszona skórka od chleba, spytałem:

— Prohibicja?

Szofer znowu rozciągnął usta, teraz nieco szerzej, podniósł blat stolika i wyjął flaszkę doskonałego koniaku. Sądziłem, że przypije do mnie, ale on tylko ją odkorkował i postawił przede mną kubek od jaj, którym jednak pogardziłem. Obfita porcja koniaku rozjaśniła mi maszynię mózgową: wydawało mi się, że znalazłem się w nader wesołym położeniu i chciałem właśnie spytać o jakieś możliwości spania w tym kiepskim hotelu, gdy nad moją głową rozległo się niskie, krótkie buczenie, które powtórzyło się trzy razy. Szofer drgnął lekko, wyjął kajdanki i powiedział:

— Pójdziemy.

Zawahałem się — on cofnął się o krok i dotknął kieszeni spodni, która była podejrzanie wypchana.

— Nec Hercules — powiedziałem głośno, uśmiechnąłem się i podałem rękę. On też się uśmiechnął, choć trochę krzywo, otworzył drzwi i wpadliśmy w panującą po ich drugiej stronie czarną zupę.

Teraz szliśmy gdzie indziej, gdyż w pewnej chwili ujął mnie za ramię i szarpnął. Bardzo się to przydało, inaczej rozciągnąłbym się jak długi na schodach. Szliśmy nimi do góry, ujrzałem niebawem bladoniebieskawe światło, które stawało się coraz silniejsze, aż wstąpiliśmy przez podest na szeroki korytarz bez żadnych okien, o ścianach oświetlonych wpuszczonymi w mur kwadratowymi matowymi lampami. Korytarz kończył się drzwiami, tak dużymi jak cała zamykająca go ściana. Gdy doszliśmy tych drzwi, szofer popchnął mnie naprzód — same się otworzyły i same za nami (czy też za mną) zamknęły.

Znalazłem się jakby w olbrzymiej bibliotece — takie było moje pierwsze wrażenie. Ściany pod sufit wypełniały półki pełne książek. Pod nimi stały drabinki, stoliki z lampami, fotele, w środku — mały okrągły stół, przy którym siedzieli znani mi już mężczyźni. Jeden z nich, ten, który tylko raz się do mnie odezwał, wysoki i szczupły, o siwych skroniach, błysnął ku mnie szklami binokli. Podszedłem bliżej.

— Mówiliśmy właśnie o panu — powiedział wreszcie) ten człowiek powoli i dość cicho.

Mówił tak, jakby był bardzo zmęczony. Ukłoniłem się lekko i czekałem. — Chcemy panu wierzyć... Badanie wykazało, że według wszelkiego prawdopodobieństwa mówił pan prawdę...

Spojrzałem na niego zdumiony. Jakie badanie? Czy kolacja z milczącym szoferem miała je stanowić? Musiałem je w takim razie uznać za nader niedokładne. On zdawał się nie zwracać uwagi na moje zdziwienie.

— Dostał się pan mimo swojej woli w pewne... w bardzo złożone okoliczności. — Widać było, że się zastanawia nad każdym słowem. — Jedno musi pan wiedzieć: takim, jakim pan był dotąd, wyjść pan stąd nie może.

Przyszła mi do głowy błyskawiczna myśl, że to jest centrala jakiegoś wspaniale zorganizowanego gangu — a może politycznej szajki — faszystów lub coś w tym rodzaju? Ale po co te książki?

— Albo pan wcale nie wyjdzie, albo... — zatrzymał się. Patrzyli na mnie niby spokojnie, ale czułem napięcie.

— Albo? — spytałem. I zwracając się do tego, który już przy mnie zapalał papierosa: — Przepraszam, czy mogę pana prosić? Jak pan widzi, nie mogę posługiwać się rękoma, a chętnie bym zapalił.

Ten powoli (wszystko robili powoli — było to śmieszne, ale czasem i straszne — zupełnie jakby grali jakąś rolę na scenie) włożył mi papierosa w usta i podał ogień. Inni tymczasem wymienili ze sobą spojrzenia — po raz drugi.

— Albo pan będzie nasz... — dokończył mężczyzna w binoklach. — I zdaje mi się, że tak właśnie będzie, sądząc po pozorach.

— Pozory mogą mylić — powiedziałem, także starając się mówić powoli, nie tyle, żeby się do nich dostosować, ale raczej, by zapanować nad oparem, jakim wypity po długim głodowaniu koniak zaćmiewał mi mózg. — Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

Mężczyzna o bladej szerokiej twarzy, który dotąd milczał, podniósł głowę.

— Tego pan, oczywiście, wiedzieć nie może — powiedział jakby przepraszającym tonem. I głośniejszym: — A czy to panu nie wszystko jedno? Dewiza jest prosta: słuchać i milczeć.

Muszę przyznać, że ta rozmowa wprawiła mnie w stan bardzo dziwny. Podczas gdy będąc przez to dziwne towarzystwo skazany na zniknięcie, czyli śmierć, zdawałem sobie sprawę z tego, że moja sytuacja jest beznadziejna, nowy zwrot obudził we mnie jakieś dziwne siły. Człowiek w sytuacji bez wyjścia staje się apatyczny, oziębiały. Dość jednak najmniejszego promyka nadziei, a siły ustokrotnieją się, wszystkie zmysły natężają do granic ostatecznych i jest się jednym nabrzmiałym mięśniem, aby w gwałtownym wysiłku uratować życie. Tak było i ze mną. Rozmawiając głosem przytłumionym, powoli, patrzyłem zarazem badawczo na otoczenie, spod przymrużonych powiek szacując poszczególne odległości. Ucieczka...? Czemuż by nie? Tak, to była ostateczność. Mogłem chwycić masywną popielniczkę ze stołu i rzucić nią w łeb prezesowi, ale to byłaby głupota. Znacznie lepiej byłoby rzucić nią w wielką lampę elektryczną, która oświetlała salę. Chodziło tylko o to, czy w okrągłej, matowej kuli płonie jedna czy więcej żarówek? Od tego mogło zależeć wszystko. No dobrze, ale zostawały drzwi. Te dziwne drzwi, które otwierały się i zamykały same. Byłem obrócony do nich plecami, nie wiedziałem, czy mają klamkę.

— Panu nie wolno stawiać żadnych pytań — mówił wolno, z naciskiem mężczyzna o bladej spoconej twarzy, dusząc papierosa w srebrnym rzeźbionym bloku popielniczki. Strzepnął z mankietu jakiś niewidzialny pyłek i nagle ogarnął mnie swoim chłodnym niebieskim spojrzeniem.

— Pan pozwoli — uśmiechnąłem się z lekkim wzruszeniem ramion i zerknąłem kątem oka. Drzwi miały zwykłą klamkę. — Mam wrażenie, że jednak powinienem choć w pewnych zarysach...

Jeden z mężczyzn, który zdawał się naszej rozmowy wcale nie słuchać, nagle powiedział

kilka słów w jakimś niezrozumiałym mi języku. Brzmiały one dziwnie gardłowo. Mój rozmówca pochylił się nad blatem stołu i powiedział szybko i cicho:

— Czy pan się zgadza?

— Na co? — Chciałem za wszelką cenę zyskać na czasie.

— Ma pan do wyboru albo wstąpić do naszej — zawahał się (widocznie nie mają praktyki, pomyślałem, to nie jest żaden gang, tam panują inne maniere) — do naszej organizacji, albo też zostanie pan unieszkodliwiony.

— To jest ochłodzony do temperatury gruntu, czy tak?

— Nie — powiedział spokojnie. — My pana nie zabijemy. Zrobimy panu tylko małą operację, po której zostanie pan na całe życie idiotą, niedorozwiniętym umysłowo.

— Tak... A co mam w „organizacji” robić?

— Nic takiego, czego pan wykonać nie jest w stanie.

— Czy to sprzeczne z prawem?

— Z czym prawem? Byłem zafrapowany.

— No jakże... z naszym, amerykańskim prawem...

— Niewątpliwie... nieraz — odpowiedział. Jakby na rozkaz, wszyscy się lekko uśmiechnęli. Rzekłbyś, woskowe maski, które ożyły na mgnienie. Uczyniłem powolny ruch nogą, by móc obrotem ciała w tył pochwycić popielniczkę. Czy zdołam nią rzucić w lampę skutymi rękoma? Byłem niezłym gimnastykiem. W tej samej chwili mężczyzna w binoklach odwrócił się do stojącego przy stoliku oleandra w pięknej jaspisowej wazie i powiedział kilka słów, których nie dosłyszałem. Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich szofer ze swoim pomocnikiem.

— Odprowadzić go... do sali operacyjnej — powiedział prezes. — I zdjąć kajdanki.

Szofer przystąpił do mnie — kluczyk zazgrzytał w zamku. W następnej chwili zadałem mu cios stalową bransoletą lewej, jeszcze skutej ręki w skroń i poprawiłem pełnym uderzeniem nogi w brzuch. Upadł bez jęku. Ale gdy jego wielkie ciało leciało jeszcze w moją stronę, chwyciłem go za klapy skórzanej bluzy i z całej siły rzuciłem w zrywających się od stołu mężczyzn. Wielkie masywne cielsko przewróciło stół — kilka foteli upadło — nie czekałem, co będzie dalej, lecz skoczyłem ku drzwiom. O dziwo, nikt jeszcze nie strzelał, a pomocnik szofera stał w nich spokojnie, z lekko rozchylonymi rękami, jakby zobaczył znajomego po długim niewidzeniu.

Uderzyłem go lewym kuleciem w podbródek, to jest celowałem w to miejsce, ale on odparował cios kantem dłoni tak, że poczułem w ręce ostry ból i zwiśla mi bezwładnie. Chłop znał ju-jitsu — było to fatalne.

W tym chaosie, gdy słyszałem za plecami zbliżające się kroki, wyskoczyła mi z pamięci na jedno błyskawiczne mgnienie sylwetka krępego, niskiego Itchi-Hasama, który w Kioto uczył walki japońskiej. Na ostatniej lekcji nauczył mnie dwu chwytów, których Europejczycy nie znają, sprowadzających śmierć. Są to uderzenia oburącz, od dołu, które w sposób nożycowy łamią krtań. Cios wyrzucony z całą siłą rozpaczy udał się tylko częściowo. W chwili, gdy pod rozmachem uderzenia poczułem jego napięte ciało, kilka silnych ramion pochwyciło mnie od tyłu. Rzuciłem się na ziemię, ale walka trwała krótko. Z masy drgających rąk i nóg wyłoniłem się, trzymany silnie za ubranie, i zostałem — o dziwo — zaprowadzony do stolika.

Tutaj jeden z zadyszanych podsunął mi fotel, a gdy nań osłupiał, rozdygotany upadłem, drugi wsunął mi w usta długiego papierosa, trzeci podał ognia i siadali wszyscy przy mnie jakby po krótkiej przerwie w towarzyskiej rozmowie.

Szofer wyniósł się szybko razem z pomocnikiem, który charczał, spluwał krwią i trzymał się za rozbite gardło. Po chwili milczenia odezwał się prezes.

— Zdał pan egzamin... jest pan już nasz. To wszystko była oczywiście komedia — dodał na moje zdumione spojrzenie. — Daliśmy panu szansę, a pan z niej skorzystał.

— Oryginalny sposób — powiedziałem, masując sobie lewe przedramię. — Czy mogę

wiedzieć, jakie żarty mają panowie jeszcze w pogotowiu? Jakem reporter USA, coś podobnego mi się jeszcze nie przytrafiło.

— Chętnie wierzę panu — powiedział mężczyzna o bladej twarzy. — Pozwól pan, że go zapoznam z obecnymi: to jest doktor Thomas Kennedy — wskazał na mężczyznę w binoklach — to Mr Gedevani, inżynier Fink, a ja się nazywam Frazer.

Panowie kłaniali mi się i podawali ręce. Nie wiedziałem, czy mam się złościć, czy śmiać.

— A ja się nazywam...

— Wiemy, wiemy doskonale, panie Mc Moor, pochodzi pan ze Szkocji, prawda?

— Proszę, panowie, może dość już tych żartów?

— Rozumiemy pana doskonale — powiedział Frazer. — Otóż w kilku słowach: tak, jak tutaj siedzimy, stanowimy organizację, która nie ma właściwie na oku ani celów czysto naukowych, ani finansowych, ani nawet — uśmiechnął się — zbójceckich. Nie sądz pan też, że jesteśmy faszystami — dodał szybko, widząc, że mi się twarz wyciąga. — Nie jesteśmy też klubem znudzonych milione...

— Tak wyliczać może pan godzinę — powiedziałem kąśliwie. — Nie tworzycie towarzystwa ochrony nad zbłąkanymi sznyclami ani klubu opieki nad własną kieszenią...

— Jest to sprawa dość trudna do zrozumienia, a jeszcze trudniejsza do uwierzenia — odezwał się po raz pierwszy mężczyzna w czarnym ubraniu, o twarzy wąskiej, ozdobionej wypiełgnowanym srebrnym wąsikiem. Prezes nazwał go inżynierem Finkiem. — Sądząc według wszystkich pozorów, pan się nią nie tylko zainteresuje, ale odda jej to, co myśmy oddali.

— To znaczy?

— To znaczy wszystko — powiedział, wstając. Inni też powstali, a Frazer zwrócił się do mnie: — Pozwoli pan ze mną? Muszę pana objaśnić szczegółowo.

Skłoniłem się i szedłem za nim po tłumiącym wszelki szmer grubym chodniku.

Doszliśmy do drzwi, które na dwa kroki przed nami same się otworzyły. Zauważyłem, że byliśmy sami — inni spiskowcy (jak ich w myśli nazywałem) pozostali w bibliotece. Korytarz prowadził do jakichś nie znanych mi schodów, które wydawały się wyryte w jednym bloku betonu: bez otworów okiennych, ciężkie, masywne. W ścianach płonęły wszędzie spokojnie przyćmionym światłem kwadratowe, wpuszczone w mur lampy. Na drugim piętrze korytarz był taki sam jak na dole — przewodnik mój prowadził mnie ku drzwiom, jakie widniały na podeście, i otworzywszy je, wszedł pierwszy.

Był to mały pokój, ogromnie załadowany instrumentami fizycznymi, książkami, na ścianach wisiały mapy geograficzne — jak mi się zdawało, jakichś okolic pustynnych — na podłodze stały różnej wielkości globusy. Urządzenie stanowiło ogromne amerykańskie biurko, kilka foteli i stojące pod ścianami stoły z jakimiś bardzo złożonymi aparatami o wielu lampach katodowych. Tyle zdążyłem zauważyć — gdy usiadłem, zaproszony, i spojrzałem na mego gospodarza. Był on dziwnie skupiony i poważny.

— Mr Mc Moor, proszę pana bardzo, aby pan się starał mnie dobrze zrozumieć i, o ile możliwe, uwierzyć w to, co panu powiem. Postaram się potem pańskie wątpliwości rozproszyć za pomocą dowodów naocznych. — Uczynił szeroki gest ręką i spytał, podnosząc ze stołu jakąś gazetę: — Czy przypomina pan sobie, jakie zjawisko ukazało się na niebie naszej półkuli przed trzema miesiącami?

Nateżyłem pamięć.

— Zdaje mi się, że pojawiła się jakaś wielka kometa, czy też meteor, nie pamiętam już dobrze — powiedziałem. — Byliśmy wtedy zajęci kapitulacją Niemiec, astronomia z meteorologią musiały pójść w ką.

— Tak właśnie było — mój rozmówca zdawał się być bardzo zadowolony. — Musi pan wiedzieć, że jestem z zawodu fizykiem. Nawet astrofizykiem — dodał po chwili, jakby się namyślając. — Wspomniany przez pana meteoryt upadł na granicy Północnej i Południowej

Dakoty, wywołując pożar lasów i zniszczenie ich na przestrzeni trzech tysięcy hektarów z górą. Będąc w tych stronach, wybrałem się, by zwiedzić z kolegami z obserwatorium w Mount Wilson miejsce upadku meteorytu. Był to pewnego rodzaju wąż rozrytej ziemi, to ciało kosmiczne zdawało się nie bardzo słuchać praw niebieskiej mechaniki: zetknęło się ze skorupą ziemi pod bardzo ostrym kątem, niemal po stycznej. Blisko dwa kilometry mknęło ono przez las, wyorywując bruzdę głęboką miejscami na dwanaście metrów, zapalając i kładąc ciśnieniem powietrza drzewa, aż zaryło się w pagórku, którego szczyt został przez nie zniesiony, na głębokości kilkudziesięciu metrów. Wysoka temperatura i płonący ciągle las utrudniały dostęp do miejsca, w którym zagadkowy meteoryt się znajdował. Najdziwniejsze było, że w pobliżu nie znaleźliśmy żadnych odłamków żelaza meteorycznego, w ogóle nic, co by mogło nas objaśnić o strukturze tego tworu. Przy pomocy sprowadzonych maszyn i najętych robotników udało mi się wykopać, po sztucznym ostudzeniu, to ciało; o różnych tarapatach związanych z jego wydobyciem opowiem panu dokładniej innym razem. Ten bolid jest obecnie tu, może pan go zobaczyć w dzień, nawet jutro. Nie jest to właściwie bolid... — zawahał się.

— Czy to jest może pocisk raketowy z Europy? — spytałem. — Niemcy próbowali je rzucać, ale, o ile wiem, tylko na Wyspę.

— Tak, to jest pocisk raketowy — powiedział Frazer — jest pan nader domyślny, ale nie z Europy.

— Japonia?

— Ani to... — i wskazał na wielkie planigloby, które wisiały na ścianie. Spojrzałem dokładnie. Jakieś wielkie, dziwnie żółte powierzchnie, kręte, ciemne, jakby pokryte lasem masywy, białe kapy śniegów na biegunach... ujrzałem nagle drobną, zawężloną sieć kanałów...

— Mars — krzyknąłem prawie.

— Tak, to jest pocisk z Marsa — powiedział Frazer powoli i położył przede mną przedmiot, który bardzo ostrożnie wyjął z szuflady. — A to jest pierwsza wieść z drugiej planety...

Na czerwonym blacie biurka leżał lśniący błękitnie walek z jakiejś metalicznej substancji. Ująłem go w rękę — zwiśla mi.

— Czy to ołów? — spytałem. Mr Frazer uśmiechnął się.

— Nie, to nie jest ołów, to jest bardzo rzadki na Ziemi metal: to jest pallad...

Odkręcałem powoli wieczko — załśnił matowo gwint — zaglądnąłem do wnętrza: był to wydrążony walec, wypełniony jakimś proszkiem.

— I cóż to jest?

Mr Frazer wysypał proszek na kawałek białego papieru, potem położył papier na szklanej płycie zawieszonyj na dwu statywach i przyłożył od spodu metalowy walek. Przesunął nim raz w jedną, raz w drugą stronę. Zdaje mi się, że krzyknąłem. Na papierze drobinki proszku, jakby opiłki, ułożyły się w rysunek: trójkąt ze zbudowanymi na bokach kwadratami. Twierdzenie Pitagorasa. Pod spodem widniały trzy małe znaczki podobne nieco do nut. Frazer zesypał starannie proszek do walca, zamknął go i schował do szuflady. Następnie spojrzał na mnie, jakby chcąc zbadać, jakie wrażenie wywarł na mnie ów dziwny pokaz, i mówił dalej:

— Mc Moor... nie tylko wieści z innej planety przyniósł pocisk... ale także żywe wrażenia...

— Ludzie z Marsa?

— Żeby to ludzie... w pocisku znajdował się bardzo złożony mechanizm. Jakby panu powiedzieć? Brak na to w ogóle słów... Coś jakby robot mechaniczny... zobaczy go pan... Sądziłem, że to jest po prostu taki pilot-robot, który kierował rakieta. Ale nie: okazało się, że w pewnym miejscu, w centrum, znajduje się, nie do uwierzenia, chodźmy, musi pan to sam zobaczyć. Ja sam, ilekroć nie widzę tego dzień, zaczynam raczej wierzyć we własny rozstrój

nerwowy...

Wyszliśmy na korytarz. W głowie mi huczało — nie uważałem dobrze na otoczenie — zauważyłem tylko, że wsiedliśmy do windy, której szyb ział w środku bloku oplecionego schodami. Winda drgnęła i podłoga zapadła się pod nami. Jazda trwała krótko. Na dole był taki sam korytarz — długi, tylko nieco ciemniejszy, gdyż co druga lampa ścienna nie płonęła.

Trzasnęły rygle, drzwi potężne, na kształt śluzы żelaznej, powoli odsunęły się — wszedłem.

W powietrzu uczułem od razu jakiś ciężki, niemiły zapach. Usłyszałem rytmiczny, słaby stukot, jakby pracującej pompy, połączony z mlaskaniem oleju w wentylach. Światło zabłyszczało: był to pokój o stalowych ścianach i niskim pułapie. Na środku widniały dwa potężne słupy drewniane, a między nimi, jakby na kozłach, leżała jakaś bezkształtna machina, lśniąca czarno i niebiesko. Wyglądała jak wielka głowa cukru, wyposażona w, zwisające na podłogę spiralne węże z metalu. Podstawa jeżyła się gwintami i szczękami.

W różnych miejscach widniały przegrody jaśniejsze, jakby z masy szklistej, a sam szczyt stożka posiadał coś w rodzaju czapki metalowej czy też bardzo wielkiej nakrętki.

— To jest „człowiek z Marsa” — powiedział bardzo cicho Frazer. Twór leżał nieruchomo, tylko rytmiczne tykanie wydobywało się z jego wnętrza.

— A... czy on... czy to żyje?

— Nie wiemy jeszcze, jak to działa... — powiedział Mr Frazer. — Widzi pan — podszedł i odkręcił powoli kaptur na czubie, najpierw w jedną, potem w drugą stronę — tu jest kamera. Tylko nie dotykaj pan, na miłość boską — dodał z przestachem, gdy pochyliłem się zbyt nisko.

Ujrzałem nie większą od pomarańczy gruszkę metalową, która miała ogromną liczbę wychodzących z jednego bieguna drucików.

— O, tu jest okienko...

Rzeczywiście, ta stalowa czy też palladowa gruszka miała na przeciwnym końcu okienko wypełnione przezroczystą masą. Spojrzałem do środka. Widniało tam bardzo słabe, powolne, ale rytmiczne bulgotanie. W momentach nasilenia wyglądało to jak pasma świecącej żelatyny czy też śluzu rybiego. W chwilach zaciemnienia widoczne były pojedyncze, blade świecące punkty, których stadium rozjaśnienia zlewało się w jeden błysk.

— Co to jest? — mimo woli mówiłem szeptem.

— On, zdaje się, nie przyszedł jeszcze do siebie, a może coś w nim się uszkodziło przy lądowaniu — powiedział Frazer, nasadzając kołpak na swoje miejsce. Wyprowadził mnie szybko na korytarz, przekręcił korbę, która zamknęła grubą płytę stalową drzwi, oglądając się jakby z ulgą (gdzie się podział ten panujący nad sobą, zrównoważony mężczyzna z górnej sali?) i dodał: — To, co pan widział, to jest właśnie to jedno żywe... w nim.

— W kim?

— No w tym gościu Marsjaninie... jakby rodzaj plazmy, nie wiemy jeszcze dobrze co...

Przyspieszył kroku. Patrzyłem na niego z boku, aż podniósł głowę:

— Ja wiem, co pan myśli, ale gdyby pan widział, co on zrobić może... tak jak ja widziałem, to nie wiem, czy by pan wszedł dobrowolnie jeszcze raz do tego pokoju.

I wepchnął mnie do windy.

Winda zamruczała cicho i podniosła się lekko w górę. W głowie mi szumiało, uczułem lekki zawrót, chwyciłem za rękojęść przy drzwiach. Nagle stanęliśmy. Frazer patrzył na mnie badawczo przez dłuższą chwilę, jakby stwierdzając wrażenie, jakie wywarła na mnie niezwykła demonstracja. Potem otworzył drzwi i wyszedł pierwszy.

Byliśmy znowu na pierwszym piętrze. Idąc w przeciwnym kierunku niż do sali bibliotecznej, doszliśmy do zakrętu korytarza. Tutaj mury nagle się skończyły: po prawej stronie ujrzałem wysokie szklane płyty, wpuszczone w rowki betonowe, które odgradzały część przestrzeni wyglądającą jak obserwatorium astronomiczne. Frazer pociągnął mnie dalej,

do małych białych drzwi, i zapukał.

Ze środka dobiegł nas głos cichy i ochryply:

— Proszę!

Weszliśmy do maleńkiego pokoju, tak zavalonego i zaśmieconego papierami, jakimiś fotografiami, szkicami, które leżały na wielkim biurku, na oknach, krzesłach i szafach, że wydało się, iż nie ma miejsca dla nikogo oprócz niewielkiego człowieczka, który na nasze powitanie podniósł głowę znad stołu. Był to ciekawy typ — staruszek o rumianej twarzy, pokrytej srebrnym zarostem — rzekłbyś, karmelek obsypany cukrem. Na twarzy tej, zmieniającej co chwila wyraz, błyszczały potężne, w złoto oprawione okulary, a za nimi oczy, czarne, przenikliwe, wcale nie wesołe, kontrastujące z jowialnym wyglądem.

— Panie profesorze, to jest właśnie ten młody człowiek, który niechcący trafił do nas...

— He, he, to pan, aha, to pan wpadł w nasze sidła, co? — zaczął staruszek, podnosząc okulary na czoło. — Sądzę, że będą z pana ludzie — krytycznie spojrzął na moje ubranie, które oprócz śladów niedawnej bitwy w bibliotece nosiło wybitne oznaki zużycia. — U nas pan nie zginie. Tak, to ważna rzecz, aha, siadaj pan, proszę.

Usiedliśmy. Trzeba było zdjąć jakieś wykresy, stopy zapisanych arkuszy i tabele z krzeseł. Profesor nie przestawał mówić.

— Więc tak... Mr Frazer pokazał panu naszego, hem, he, he, naszego gościa?

Skinąłem głową.

— Nie chce się wierzyć, co? Aha, jak wiem, tak... co to ja chciałem powiedzieć, ach, tak, więc pan się pewno dziwi, co za tajemniczość, i te mury, a zamki jak w gangu jakimś... — zaśmiał się, podniósł okulary, które mu opadły, i mówił całkiem innym tonem, równo i spokojnie, podkreślając słowa wzniesionym palcem: — Więc to tak jest: ten gość z Marsa może przynieść ogromnie wiele pożytku dla ludzkości... ale jeszcze więcej nieszczęść. Więc zebrano się kilku ludzi, dali potrzebne pieniądze, środki i wiedzę z takim celem: zapoznać się z istotą tego przybysza... gońca z innej planety, porozumieć się z nim, wydostać, czy i wiele wie o nas, jakie posiada nad nami wyższości techniczne czy umysłowe, aby zużyć je dla dobra ogółu, albo w razie potrzeby, aby go zniszczyć. — Te ostatnie słowa powiedział nie podnosząc tonu, spokojnie, i to właśnie spotęgowało wrażenie.

— Musimy rzecz jasna bronić się przed ciekawością, w pierwszym rzędzie prasy, naszej wspaniałej prasy — dodał, mrugając do mnie filuternie okiem. Już znowu był jowialnym wujaszkiem. — Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

— Zrozumiałem. Chciałbym teraz spytać, czy i o ile mogę być panom potrzebny? Nie posiadam żadnych specjalnych wiadomości... Mógłbym dać słowo i odejść. Przyznaję, że ta sprawa jest niesłychanie fascynująca i możliwość opisania jej wtedy chociażby, kiedy nie będzie już potrzeby zachowania tajemnicy, pociągałaby mnie niesłychanie, ale nie uważam, że muszę u panów zostać tylko dlatego, że trafiłem tu przez przypadek i mam, że tak powiem, zostać jako obce ciało i los jego podzielić: być albo wyrzuconym, albo zresorbowanym.

— Pan studiował medycynę? — spytał profesor, patrząc na mnie uważnie.

Malutkie punkciki świetlne skakały w jego okularach.

— Studiowałem... parę lat.

— To poznać — zauważył. — Co się tyczy pańskiego odejścia stąd, od nas, nie wiem, czy dałoby się to zrobić: niech pan uważa, że taka sensacja w prasie to jest ogromnie...

Wyprostowałem się mimo woli, gdyż on machnął kilka razy ręką, jakby gładząc coś, i powiedział:

— Niech się pan nie czuje dotknięty... ja nie wątpię w pańskie słowo, słowo Szkota — uśmiechnął się — ale, hm, wie pan, co to jest żyłka reportera, zresztą pan się nam przyda, jak myślę, i my panu nie mniej. Oczekujemy obecnie jednego... — zawahał się — jednego inżyniera, który ma przybyć z Oregonu i przywieźć od naszych przyjaciół pewne części konstrukcyjne... Wie pan, mamy komplet wybitnych fachowców, ale brak nam kogoś

dysponującego zwyczajnym zdrowym rozumem — znowu mrugnął do mnie filuternie — a taki rozum to bardzo dobra rzecz i nam się też może przydać... Pan słyszał parę słów o konstrukcji AREANTHROPA?

— Doprawdy, nie mogłem tego jeszcze strawić... zresztą widziałem go tylko chwilę.

— Ja wiem, ja wiem... tam siedzieć i tak niezdrowo... — zauważył cicho profesor, nie patrząc na mnie.

— Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób to działa, zdaje mi się, że jest to rodzaj promieniowania, niektóre ciała świecą w bliskości aparatu, poza tym w czasie wydobywania go z pocisku...

Patrzyłem uważnie. Profesor jakby się trochę skurczył i drgnął.

— Zostawmy to zresztą... Jeszcze pan o tym usłyszysz.

— Podniósł głowę, nagle: — Wiedz pan, że gra nasza jest bardzo niebezpieczna, ten aparat czy zwierzę, czy też zwierzę zamknięte w aparacie, nie orientujemy się jeszcze, posiada różne dziwne właściwości i może nam zgotować niejedną niespodziankę.

— Czemu panowie nie spróbujecie rozebrać go na części? — wyrwałem się.

Obaj mężczyźni skrzywili się.

— Niestety, takie próby były... — I nie patrząc na mnie:

— Musi pan wiedzieć, że było nas sześciu... a teraz jest tylko pięciu. Nie jest to takie proste.

— Teraz wie pan już prawie tyle co my — powiedział cicho Frazer. — Czy pan się zgadza na warunki, jakie postawimy, to jest zupełna swoboda, traktowanie jak towarzysza pracy i słowo, że nie spróbuje pan ucieczki?

— Jakże to, ucieczki, moi panowie? — powiedziałem.

— Czy nie wolno mi będzie stąd wychodzić?

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się.

— Oczywiście, że nie — powiedział Frazer. — Chyba pan nie sądził...?

— W takim razie zgadzam się... ale żadnego słowa nie daję — powiedziałem. — Słowo, moi panowie, którzy tego może nie zrozumiecie, byłoby dla mnie przeszkodą nie do pokonania. Nie są takimi wasze mury. Mogę tu zostać na takich prawach, jakie stosujecie do siebie nawzajem.

I wstałem.

Profesor uśmiechnął się. Wyjął z kieszeni pękaty złoty zegarek i spojrzął:

— Trzy na drugą... Sądzę, że na dzisiaj przeżył pan już dość, życzę dobrej nocy.

I opuścił głowę nad swoimi papierami. Nie widział nas już ani nie uważał, wypisując długie kolumny cyfr.

Frazer wziął mnie za rękę — wyszliśmy na korytarz.

Światło lamp jakby nieco zbladło. Uczułem chłód w piersiach i ogromne znużenie.

II

Zbudziło mnie silne, jasne światło słoneczne. Ze zdziwieniem przeciągnąłem się — uczułem miękkość łóżka — podskoczyłem szybko na posłaniu i spojrzałem. Wielki jasny pokój pełen był blasku. Oknami wlewało się słońce i pierwszym moim uczuciem było, że miałem jakiś dziwny, głupi sen, ale w następnej chwili wzrok mój padł na drzwi bez klamki i wszystko sobie przypomniałem. Wstałem pospiesznie, podszedłem do okna i wyjrzałem. Pode mną rozlewało swoje fale wielkie ciemne jezioro, którego brzegi tonęły we mgle porannej. Jak daleko okiem sięgnąć — tylko woda. Patrzyłem na gładką, z lekka pomarszczoną czarnozieloną tafelę z wysokości co najmniej trzech pięter. Rozejrzałem się po pokoju. Ubranie moje znikło — na krześle leżał ciemnopopielaty garnitur w szkocką kratę. Mimo woli uśmiechnąłem się — troskliwych miałem gospodarzy. Nagle zauważyłem małe drzwi w ścianie pokoju, pokryte malowidłem. Otwarłem je — załśniła białą kafli i nikłem mała wytworna łazienka.

W następnej chwili stałem już pod huczącym, gorącym tuszem i rozkoszowałem się pianą drogiego, wonnego mydła, bez którego tak długo musiałem się obywać. Właśnie skończyłem się ubierać, gdy rozległo się lekkie pukanie i do pokoju wszedł Mr Frazer. — Aha! Ranny ptaszek z pana, to dobrze.

Był jakby wypoczęty, uśmiechnięty i wydawał się co do mnie zupełnie przekonany. Wziął mnie pod ramię i pociągnął za sobą.

— Proszę na śniadanie. — I dodał objaśniająco: — Jemy je zawsze wspólnie. Usłyszy pan też dosyć ciekawego, przyjechał inżynier Lindsay z Oregonu.

Zjechaliśmy piętro niżej. Sala, do której wszedłem, mogła istnieć w każdym starym zamku angielskim. Olbrzymi kominek, długi wąski stół obstawiony wysokimi krzesłami o rzeźbionych w mahoniu oparciach, srebro i porcelana, zastawy, herby na ścianach — zaiste, ludzie, u których przebywałem, umieli sobie urządzić życie nawet w najdziwniejszych warunkach.

Przy stole siedzieli już wszyscy znani mi mężczyźni, a także przybysz nowy, barczysty i pleczysty, o mocnej kościstej twarzy opalonej na kolor brązu. Przedstawił mi się jako inżynier Lindsay. Gdy zająłem miejsce, znany mi już pomocnik szofera wszedł i zaczął podawać kawę i herbatę. Spojrzałem na niego z boku — ciekaw byłem, jak czuje się po naszym wczorajszym starciu.

Wyglądało jednak na to, że ma się dobrze, tylko jabłko Adama mocno było spuchnięte, a także spojrzenie, jakim mnie obrzucił, nie wydawało mi się specjalnie przyjazne. Nie mogłem wszakże zwracać na niego uwagi, gdyż przy stole toczyła się rozmowa, którą przerwało moje wejście.

Profesor, który siedział przy końcu stołu i maczał małe kawałki bułki w przechylonej filiżance kawy, zwrócił się do mnie. Gdy mówił, okulary poruszały mu się na przykrótkim nosie.

— Mr Mc Moor, zazwyczaj przy śniadaniu rekapitulujemy wszystkie zaszłe w dniu poprzednim zdarzenia. Otóż wczoraj oczekiwaliśmy przybycia pana inżyniera, który przywiózł nam potrzebne do dalszych doświadczeń materiały, to znaczy panczerze z ołowiu i azbestu. Chodzi bowiem o to, że maszyna, Areanthropos, wydziela pewnego rodzaju energię, jak się zdaje, promienistą, która na nasze tkanki posiada nader zgubne działanie. Z wystawionych na promieniowanie świnek morskich po dwu godzinach nie żyła ani jedna. Trzeba panu wiedzieć, że działanie to, jak suponujemy, jest osłabione, gdyż aparat nie znajduje się według wszelkiego prawdopodobieństwa w stanie normalnym.

— Jest to właściwie nasze przypuszczenie — odezwał się Frazer. — Chodzi o to, że resztki atmosfery, jakie znajdowały się w pocisku, będące prawdopodobnie w pewnym stopniu

odpowiednikiem atmosfery Marsa, były nader bogate w dwutlenek węgla i inne gazy obce naszemu powietrzu ziemskiemu. Sądzymy przeto, że organizm, to jest organiczna substancja, która kieruje działalnością mechanizmu, została przez nieodpowiedni skład naszej atmosfery zatruta.

— A może stan, w jakim się teraz maszyna znajduje, jest jej stanem normalnym? — spytałem. — Przecież nie wiadomo, jak się takie stworzenie powinno zachowywać... Nie powinniśmy, sądzą, używać porównań... to znaczy starać się twór ten zbytnio ucłowieczyć.

Wszyscy patrzyli na mnie badawczo.

— Przepraszam, może powiedziałem jakieś głupstwo? Proszę mi wybaczyć, to były słowa laika.

— I my jesteśmy laikami w tym zagadnieniu — odparł profesor, który już załatwił się z drugą porcją kawy i teraz kręcił kulki z chleba — a pańskie zdanie jest nader słuszne. Niestety, reakcja maszyny w chwili otwarcia pocisku była tego rodzaju...

— Czy mogę się dowiedzieć, co się właściwie stało? — spytałem. — Tyle już słyszałem niedomówień, że pałam ciekawością...

— Ma pan słuszność — to mówił siwawy, smukły mężczyzna nazwany doktorem. — W chwili gdy za pomocą palników tlenowych przecięto czubek rozgrzanego cygara stalowego, jakie stanowił pocisk z Marsa, ukazała się w otworze, po odpadnięciu średniej części, taka metalowa węzownica, którą pan prawdopodobnie zauważył, jeśli się pan przyjrzał temu dokładnie...

Skinałem głową.

— Węzownica ta dotknęła być może jednego z naszych robotników, nie dało się tego dokładnie stwierdzić, przy czym wykonywała nader gwałtowne, jakby drgawkowe ruchy. Potem ukazał się kadłub, który wywalił się na ziemię z wysokości kilku metrów i znieruchomiał. Tę nieruchomość zachował do dziś, to jest z górą tydzień.

— I cóż w tym takiego dziwnego? — powiedziałem.

— A to, że robotnik, który pracował przy palniku acetylenowym, zmarł jeszcze tego samego dnia. Z oznakami udaru mózgowego... a obdukcja nie wykazała żadnych zmian prócz lekkiego przekrwienia mózgu...

— Więc panowie przypuszczacie?

— My nic nie przypuszczamy, młody człowieku, pamięta pan, co powiedział Newton? Hypothesis non fingo, powiedział stary Newton... Tak, tak, my tylko badamy, nie stawiamy żadnych hipotez... Otóż faktem jest, że bliskość maszyny może wywołać pewne przykre konsekwencje z utratą życia włącznie, o tym trzeba pamiętać.

Potem zwrócił się rzeczowym tonem do Frazera:

— Panie kolego, czy przygotował pan na dzisiaj wszystko?

— Tak jest, panie profesorze, o dziewiątej przeniesie się Areanthropa za pomocą dostarczonych dźwigników do małej sali montażowej, gdzie umieścimy go w zbiorniku wypełnionym mieszaniną gazów według receptury doktora i będziemy starali się przez obniżenie ciśnienia aż do marsowego doprowadzić go do remisji... O ile nie ma żadnych uszkodzeń w jego mechanizmie, sądzą, że powinno się to udać.

— A jak się mają świnki w osłonie ołowiowej, umieszczone w kamerze?

Frazer zmieszał się.

— Jeszcze nie widziałem... Nie wiem... bo włożyliśmy je dopiero o piątej rano.

Różowa twarz profesora poczerwieniała.

— Jeżeli wszyscy będziemy tak pracować jak pan, panie Frazer, to Marsjanin ucieknie nam przez okno i ani go złapiemy. Dobre sobie! Nie widziałem... nie wiem... — mrucał stary choleryk, rozrzucając kulki chlebowe po całym stole. Frazer wstał szybko i podszedł do niszy w ścianie. Usłyszałem brzęk słuchawki — był to wewnętrzny telefon.

Po krótkiej chwili Frazer wrócił na swoje miejsce. Usiadł powoli i popatrzył w oczy

profesorowi. Ten poprawił się na krześle, otworzył usta i czekał.

— No!?

— Wszystkie świnki zdechły — powiedział głucho Frazer. — Teraz są dwie możliwości: albo doza jest nieszkodliwa dla człowieka, ale jeszcze zabija opancerzone ołowiem świnki, albo...

— Albo tereferekuku — powiedział niegrzecznie profesor. — Musimy się wstrzymać do wieczora, jeżeli chcemy się widzieć w komplecie przy kolacji... Proszę wzmocnić pancerz do maksimum. Ile jest płyt ołowianych?

— Jest trzydzieści sześć płyt po osiem centymetrów grubości — powiedział barczysty inżynier.

— No to damy pięćdziesiąt sześć centymetrów ołowiu zamiast dwunastu...

— A jeżeli to nie jest zwykłe promieniowanie liniowe i trzeba otoczyć całą świnkę pancerzem, ze wszystkich stron? — spytał doktor.

— Pan sądzi, że na Marsie obowiązują inne prawa fizyczne? — powiedział z przekąsem Frazer.

— A pan myśli, że pan je już wszystkie zna? — poparł doktora profesor. — Jak byłem w pańskim wieku, to także mi się zdawało, że już wiem wszystko... Ja myślę, że doktor ma rację. Proszę zrobić pancerz w kształcie walca i dać filtry do oddychania. Albo nie: lepiej zamknąć hermetycznie, a do środka dać balon z tlenem. Proszę to zaraz zrobić i włożyć do kamery z Marsjaninem.

Wszyscy powoli wstawali od stołu, profesor schwycił Frazera za rękę, przyciągnął do okna i począł mu coś tłumaczyć, rysując palcem na szybie.

Doktor zbliżył się do mnie.

— Jak się panu podoba nasz profesor? — zagadnął mnie, pocierając palcami cienki, długi nos. — Zrzęda, co? Ale powiadam panu: głowa! — I puknął się palcem w czoło. — Ale wie pan co? Namówię inżyniera Finka, żeby nam pokazał to wszystko, co wyjęto z pocisku... Ciekawa to rzecz, choć już raz widziałem, bo trzeba panu wiedzieć, że profesor trzyma wszystko pod kluczem.

Doktor skinął na inżyniera, siwego bruneta o jasnoniebieskich oczach i smagłej twarzy i wyszliśmy na korytarz.

— Wybaczcie, panowie, ale wasza praca doprawdy nic nie ma w sobie, o ile widzę i wiem, niewłaściwego, więc po co te tajemnice? I te dziwne hasła, sposoby umawiania się... Czy inżynier Lindsay nie mógł wprost przyjechać tutaj? Ja bym może nie stał się uczestnikiem tak niesłychanie ciekawych badań, ale...

— Bo pańscy koledzy po fachu żyć nam nie dają — przerwał impulsywny doktor. — Bo park musi być otoczony drutem kolczastym i psami. Bo już wywąchali, nie wiem tylko jak, że profesor Widdletton ma coś wspólnego ze spadłym meteorytem... Na szczęście mają głowy napchane Japonią, ale gdyby dowiedzieli się, że tutaj siedzi sława współczesnej astrofizyki razem z wybitnymi fachowcami fizyki atomowej, że mamy takiego inżyniera konstruktora jak Mr Fink i elektryka jak Lindsay, zdobyliśmy go, trzeba panu wiedzieć, dopiero trzy dni temu, to zapewniam pana, że te wszystkie mury i woda, i psy niewiele by nam pomogły.

Rozmawiając, doszliśmy do laboratorium. Była to wielka sala z oszklonym częściowo stropem, urządzona w sposób najnowszy. W powietrzu warczały śmigły wielkich wentylatorów, wszędzie błyszczało szkło stojących w rzędach aparatur, ze ścian błyskały tęczkami barw zawarte w butlach odczynniki chemiczne. Tu i ówdzie syczał palnik gazowy, ogrzewając jakieś aparaty. W drugiej części sali stoły były zastawione przyrządami optycznymi i złożonymi mechanizmami, jakby zegarowymi, których przeznaczenie było mi nie znane. Przeszliśmy przez tę salę i w następnej ubikacji ujrzałem rozwieszane na ścianach kolorowe zdjęcia przedstawiające okolicę, w której spadł meteor.

Przyznaję ze skrucą, że oglądałem je nader pobieżnie. Także zdjęcia samego pocisku,

cygara z tępym końcem, niezbyt mnie zaciekały. Moi towarzysze zauważyli to.

— Widzę, że pan chce oglądnąć, co najważniejsze — zauważył doktor. — Pójdziemy tedy na dół.

Zjechaliśmy windą na parter, potem zesliśmy schodami do znanego mi podziemnego korytarza. Jakież było moje zdziwienie, gdy po krótkiej drodze znalazłem się w dobrze znanej mi stalowej kwaterze, w której jadłem kolację w towarzystwie mruka szofera.

— Pan zna ten pokoik, widzę? — zwrócił się do mnie jowialny doktor. Uśmiechnąłem się, a inżynier nastawiał tymczasem wałki literowe poszczególnych sejfów i po chwili szcęk oznajmił nam, że drzwi są otwarte.

Inżynier wyjął z ciemnej głębi kilka przedmiotów i położył na stoliku.

— Co to jest? — spytałem, wskazując na walec z palladu, który na stronie poboczniczy posiadał coś w rodzaju guzika czy klawisza.

— To jest, zdaje się, przyrząd do pisania, czy też do uwieczniania myśli. Tam w środku jest taki proszek, coś w rodzaju opiłków niemetalicznych jakiejś substancji organicznej... Walec ten posiada nader dowcipne urządzenie, które wytwarza zmienne pole elektryczne, przenoszące się na proszek... Zmiany zostają tak utrwalone, że proszek wysypany na papier...

— Ach, wiem już — przerwałem — widziałem to wczoraj, ale jak to jest możliwe?

— Tego jeszcze nie wiemy, tę odpowiedź będzie pan musiał słyszeć często, na razie — zauważył doktor.

Drugim przedmiotem był trójkąt ze srebrzystego metalu, który posiadał trzy przecinające się wysokości. Wszystko było sporządzone jakby z grubego drutu.

— Cóż to jest?

— Weź pan to do ręki...

Chciałem to uczynić, ale ten przedmiot przy dotknięciu usunął się — chwyciłem go w garść. Było to coś twardego i zimnego, co wszakże drgnęło natychmiast, zaczęło więc mi się w ręce i stało się ciepłe, tak że mimo woli puściłem. Padło na stół i zastygło w dawnej postaci.

— Substancja pozornie metaliczna obdarzona pobudliwością — deklamował doktor z współprzymkniętymi oczyma. — Burzy wszystkie nasze pojęcia o żywej materii i różnicy między żywym a martwym...

Trzeci przedmiot stanowiła mała czarna kasetka. Doktor podniósł ją i ustawił między moimi oczami a światłem.

Kiedy oczy moje przyzwyczały się do względnej ciemności, zauważyłem, że chwilami ściana kasetki zaciemnia się, tworząc coś w rodzaju zielonawej fosforyzującej powierzchni, po której powoli chodzą jaśniejsze linie świetlne. Czasem zatrzymywały się na kilka chwil w bezruchu, czasem poruszały się ogromnie szybko.

— Co się tyczy tego — odezwał się inżynier — zdania są podzielone... Ja sądzę, że to jest rodzaj telewizora do porozumiewania się być może z Marsem, kolega Lindsay: że to jest odbiornik jakiegoś nieznanego lub zmodyfikowanego rodzaju energii. Przy czym nie jest wykluczone — dodał z uśmiechem — że jest to coś trzeciego, całkiem różnego w istocie od naszych przypuszczeń.

Ostatni przedmiot stanowiło małe cygaro, wykonane jakby z gumy czy też niezbyt twardej masy plastycznej, które mocno przypominało znany mi z fotografii bolid.

— To jest model pocisku? — powiedziałem, odczuwając pewnego rodzaju ulgę, że przecież goście z Marsa mają choćby jedną cechę wspólną z ludźmi: że lubują się w zmniejszeniach swoich produktów technicznych.

— Niestety, nie — powiedział doktor z ironicznym uśmiechem. — To tylko powłoka zewnętrzna. Panie inżynierze, może pan pokaże Mr Mc Moorowi, co jest w tym cygarku, bo mój palec — oglądnął troskliwie kciuk — jeszcze się nie zagoił.

Inżynier uśmiechnął się krzywo, ale wziął cygaro do ręki i włożył do szklanego akwarium,

które stało na stoliku. Potem wyjął ze skrzynki ściennej długie kleszcze, przytrzymał cygaro i powoli nacisnął jego koniec.

Koniec ten otworzył się wtedy jak rybi pysk i wyskoczyło z niego coś czerwonego, niezbyt dużego, ale bardzo ruchliwego. Było to stworzenie wielkości orzecha włoskiego, które podskakiwało nieustannie jak piłka. Nad nim, w górze, zdawały się wisieć dwa ciemnobłękitne kolce.

— Oto okaz fauny, a może i flory marsowej — zauważył doktor Kennedy. — Kąsa to dość nieprzyjemnie, ale można znieść. — Podsunął mi pod nos kciuk ozdobiony brzydką, jakby wypaloną ranka. — Są to zwierzęta, zdaje się, zbliżone do naszych pajęczaków czy członkonogich (choć nie mają nóg), które jednak są, jak mi się wydaje, mądrzejsze od wszystkich owadów całej kuli ziemskiej razem wziętych...

— Po czym to poznać? I czemu pan jesteś tak pozytywnie uprzedzony do tych przybyszów? — spytałem. Niesłychana dziwaczność, wyższość i zarazem obcość wszystkich przedmiotów, wobec której mój zwykle tak sprawny mózg zawodził, zaczęła mnie złościć.

— Jest to całkiem proste... Przy dwudniowych doświadczeniach wykazały one pamięć, której by się nie powstydział pies z laboratorium odruchów warunkowych... przy znacznie szybszym działaniu. Niech pan zwróci uwagę na ich mechanizm poruszania się: one nie mają kończyn, ale posuwają się, podskakując dzięki skurczom spodniej strony brzucha...

Patrzyłem na ceglastoczerwone stworzenie, które skakało po dnie pustego akwarium, i zauważyłem, że jest prążkowane w jaśniejsze i ciemniejsze pasy, że posiada coś w rodzaju cienkich włosów, na których znajdują się kolce.

— Ależ to nie są wcale jego kończyny — zawołałem zdumiony.

Rzeczywiście, owe tak zwane kolce były to dwie szczęki pracowicie wypilowane ze srebrzystobłękitnego metalu, posiadające niemal matematycznie obliczony system ząbienia. Trzymające owe szczęki wyrostki były spiralnie zwinięte.

— Niestety, pan ma rację: okazuje się, że owady na Marsie posługują się narzędziami — powiedział doktor. Schwycił zwierzę kleszczami, co mu się nie od razu udało, a inżynier przypatrywał się z niedowierzaniem, namawiając do większej ostrożności, i wsunął do futerału—cygara. Gdy sumienny inżynier chował wszystko do skrytki, doktor odezwał się:

— Niedobrze mi się robi, gdy patrzę na to. Gdybym nie był takim starym wariatem, noga moja nigdy by tu nie powstała. Nie mówię o niebezpieczeństwie — wyprostował się lekko — mam Military Cross, ale te zwariowane rzeczy, no i ten nasz mechaniczny nieboszczyk wyprowadzają mnie z równowagi. I po co im lekarz? — dziwił się, prowadząc mnie na korytarz oświetlony jak zawsze, mimo dziennej pory, sztucznym światłem. — Czy nie uważa pan? Im trzeba zegarmistrza do tego Marsjanina, ha, ha, ha!

Inżynier zasunął wielki rygiel i zwrócił się ku nam.

— Niech pan się zbytnio nie przejmuje uwagami doktora — powiedział — ani jego pesymizmem: on sam nie bierze się na serio.

Weszliśmy na podest parteru — inżynier nacisnął guzik. Rozległ się cichy świst, drzwi odskoczyły i niewielkie, oświetlone przyćmionym światłem wewnątrz windy rozwarło się przed nami. Spojrzałem na moich towarzyszy.

— Pójdziemy do biblioteki — powiedział doktor i ze spojrzeniem na zegarek: — Jest jedenasta, zaraz będzie narada wojenna.

W bibliotece było pusto, tak mi się przynajmniej w pierwszej chwili wydawało. Przy bocznym oknie stał jednak mężczyzna, z którym dotąd nie rozmawiałem. Był mały, krępy, nosił luźne ubranie skrojone z wielkim rozmachem, które zwisało na jego dość wypukłych kształtach, daremnie usiłując zamaskować ich krągłość. Twarz miał niemal oliwkową, włosy niebiesko — czarne, tylko oczy były zielone, jakby przesadzone z twarzy Norwega, gdyż świeciły podobnie jak lód w szczelinach gletcherów.

— O, jest pan Gedevani — doktor wydawał się zadowolony. — No, i co słyhać nowego?

Pan Gedevani mówił nieszczególnym angielskim językiem.

— Doktor, pana wzywał profesor. Już trzy razy dzwonił na górę i dół. Niech pan już idzie do małej operacyjnej.

Doktor zaniemówił — ruchy stały się celowe, szybkie — lewą ręką chwycił się za wewnętrzną kieszeń. Sprawdził, czy ma przy sobie strzykawkę, i wybiegł z sali.

— Co się stało? — spytałem.

— Nie wiem. — Pan Gedevani bębnił palcami po stole. — Zdaje się, że nasz przyjaciel Lindsay chciał udowodnić Mr Frazerowi, że hm... że maszyna, to jest człowiek z Marsa, nie wydziela przez drzwi od kamery żadne promienie...

— I co się z nim stało?

— Burke znalazł go nieprzytomnego w windzie. Pewno uciekał stamtąd, czy ja wiem?

W tej chwili drzwi się otworzyły i jak mały ciemny gnóm z siwą czupryną wpadł profesor. Po chwili za nim weszli wszyscy inni panowie oprócz doktora i Lindsaya. Profesor biegał po chodniku wzdłuż szaf bibliotecznych, tupał nogami, mruzczał i rzucał spod okularów gniewne spojrzenia na mężczyzn, którzy powoli siadali na fotelach, zapalali papierosy i zdawali się oczekiwać, aż staruszkowi przejdzie złość.

— Powiedziałem tysiąc razy: żadnych doświadczeń na własną rękę! To musi się skończyć albo ja jutro wyjeżdżam. Czy jesteśmy dziećmi? — wybuchnął wreszcie profesor. — Sprawa jest aż nadto poważna i bez tego, by jeden wielki uczoney z drugim z powodu ambicji albo dla ad hoc skonstruowanej teoryjki pchał łeb w to niebezpiecz... — Urwał, wyjął z kieszeni kamizelki niemożliwie zmieśoszone cygaro, odgryzł koniec, zapalił i mówił całkiem innym tonem dalej: — Nasz przyjaciel Lindsay wyjdzie z tej historii, jak się zdaje, cało... Obecnie chciałbym wysłuchać propozycji i rezultatów pracy panów do dzisiaj... z tym, żeby, o ile to możliwe, starać się nie o tempo badań, ale o stworzenie warunków optymalnego bezpieczeństwa... nawiasem mówiąc, bardzo iluzorycznych. Proszę pana inżyniera Finka o zreferowanie strony technicznej.

Inżynier wstał i zaczął rozkładać na swoim stoliku notatki.

— Więc rzecz się ma tak... Maszyna znajduje się obecnie w kamerze pancерnej, obłożonej, jak wiadomo panom, ołowiem na sześćdziesiąt centymetrów grubości, sądziliśmy, a okazało się to niedopuszczalne: sędzić według rezultatów promieni, wytwarzanych w naszych laboratoriach, że pół metra ołowiu jest stuprocentowym zabezpieczeniem od każdej energii falowej. Nieszczęśliwy wypadek z kolegą Lindsayem wykazał nam, że promienie te przenikają przez nasz pancerz jak przez kartkę papieru. Tym samym doświadczenie ze świnkami okazało się całkowicie bezprzedmiotowe. Celem naszym jest poddanie maszyny działaniu pewnej zmienionej atmosfery w całości: jako że próby demontażu zakończyły się nieszczęśliwie, a propozycja zatrucia całkowitego części żywej została odrzucona, jako mogąca ten rodzaj plazmy, jak sądził doktor, zniszczyć. Ażeby wykonać ten projekt, proponuję co następuje: po pierwsze, sporządzić rurę ołowianą o ścianie grubości dwu metrów. Do tej rury włoży się maszynę i zamknie z dwu stron odpowiednimi płytami. Po drugie, do rury zamontuje się od środka aparat telewizyjny, który umożliwi nam obserwowanie z pewnej odległości tego, co się w niej będzie działo. Sądzę, że moja metoda daje maksimum bezpieczeństwa.

— Czy pan skończył? — zapytał profesor.

— Tak jest.

— Zatem proszę pana bardzo, żebyś się udał do Burke'a, który pana ubierze w nasz skafander, zejdzie pan do podziemi i spróbuje zmierzyć elektrometrem siłę promieniowania z kamery przez zamknięte drzwi. Tylko w ten sposób obliczy pan, jaki pancerz jest potrzebny, i to z pewnym procentem bezpieczeństwa. Proszę nie robić żadnych sztuk, nie wchodzić niepotrzebnie do kamery i żeby Burke cały czas siedział w korytarzu, przy windzie. Gdyby się coś stało, ma pan donieść. Czy pan mnie dobrze rozumie? Myślałem do dzisiaj, że

panowie wszyscy dobrze umieją po angielsku, ale po przygodzie Mr Lindsaya nic już nie wiem.

Inżynier skłonił się, złożył papiery i wyszedł.

W drzwiach spotkał doktora, który wszedł szybko, przystąpił do profesora i powiedział coś do niego głosem tak przytłumionym, że nic nie mogłem zrozumieć. Profesor wytrzeszczył oczy, spojrział na doktora, potem puknął się palcem w czoło i wzruszył ramionami. Doktor zdawał się go przekonywać, kreślił coś palcem na dłoni.

— On zwariował — wybuchnął wreszcie profesor. Doktor zdawał się nie przejmować:

— On jest taki normalny jak ja — powiedział. — Inna rzecz, że to mogła być halucynacja. — I, zwracając się do nas: — Proszę panów, inżynier Lindsay wrócił do przytomności i opowiedział mi, że chcąc zmierzyć siłę promieniowania przy drzwiach zamkniętych kamery, zabawił tam około pół godziny z elektrometrem. Okazało się teraz, że elektrometr był popsuty i nie wykazywał żadnego promieniowania, które jednak było aż nadto silne. Dowodem tego był fakt, że inżynier stracił przytomność. Leżał tam około piętnastu minut, ale widocznie w chwili, gdy mu się zrobiło niedobrze i upadł, począł pełzać w kierunku wyjścia korytarza, gdyż Burke znalazł go przy windzie.

Inżynier twierdzi, że około trzy na dziesiątą rano, to jest po kwadransie obserwacji elektrometru, który zresztą nawet nie drgnął, zauważył takie zjawisko: część drzwi stalowych, które zamykają kamerę, zaczęła przeświecać, jakby rozgrzana do wiśniowego żaru. Przybliżył do nich rękę, ale temperatura była normalna. W kilka chwil potem ta część drzwi zniknęła zupełnie i ukazał się w powstałym otworze wyrostek, coś w rodzaju czarnego, lśniącego, tępo zakończonego kabla ołowianego. Sądził on, że jest to koniec węzownicy, jakie, zdaje się, służą Marsjaninowi za kończyny. Inżynier znajdował się jednak w takim stanie umysłowym, przypuszczalnie pod szkodliwym wpływem promieniowania, że nie zdziwił się wcale temu zjawisku, ale siedział tam dalej około dziesięciu minut, aż do utraty przytomności. Sądzę, że jeżeli zjawisko to, to jest zaniku miejscowego piętnastocentymetrowej płyty stalowej, nie miało nawet miejsca i jest tylko tworem zatrutej świadomości, to jednak wskazuje na część mechanizmu działania promieni wydzielanych przez Areanthropa: że one mianowicie powodują brak krytyczności sądu, przyczyniając się w sposób powolny i niezauważony do utraty świadomości, przed którą nie sposób się obronić.

Wszyscy milczeli długą chwilę, gdy doktor skończył mówić.

— Właściwie niczego to nie zmienia — zauważył profesor. — Mr Gedevani, pan jest tu u nas, i nie tylko u nas, najlepszym fachowcem od eksperymentalnej fizyki atomowej. Pracował pan przecież w Chicago cztery lata przy cyklotronach Lawrence'a, proszę o pańską opinię: czy możliwa jest taka, hm, dyfuzja jakiegoś ciała przez płytę stalową bez podwyższenia ciśnienia i temperatury? Proszę, niech pan to objaśni wyczerpująco.

Mały oliwkowy Gedevani wstał, milczał krótką chwilę, wreszcie wybuchnął:

— Panie profesorze, panowie! Jeżeli możliwe jest takie zjawisko, to wszystko jest możliwe... Teoretycznie, tak. Muszę powiedzieć, że teoretycznie, to jest według teorii prawdopodobieństwa, kamień nie musi spaść, woda na gazie zakipieć, jest tylko prawdopodobne, że to się... jak to się mówi?... że to się stanie. Ale w tym wypadku: nie. Sądzę, że jeżeli to zjawisko jest możliwe, to podstawa naszych wiadomości o materii i jej struktura zostaną wstrząśnięte.

— Kto wie, czy to się już nie stało... Być może, że ten przybysz zaburzy nam wszystkie nasze pojęcia — zauważył półgłosem doktor.

— Jeżeli nawet tak, to będzie musiał dać nam za to co innego, lepszego, doskonalszego — powiedział Gedevani.

— Odnośnie promieni — powiedział były współpracownik Lawrence'a — to ja myślę, że sprawa jest prosta. Jeżeli części maszyny wydzielają je, to w każdym razie jest taki pancierz, który je stłumi, nawet jeżeli ich natężenie emisyjne równe jest natężeniu ciała pod ciśnieniem

szesnastu trylionów atmosfer i temperaturze dziesięciu milionów stopni... to jest gwiazd, które takie promieniowanie wysyłają.

— A grubość tego pancerza wynosi? — zapytał profesor.

— Około trzystu metrów warstwy ołowiowej.

Ośłupienia, które zapanowało, nie da się po prostu opisać.

— Ależ my tu siedzimy jak na wulkanie — zawołał doktor. — Może myśmy już wszyscy zwariowali pod wpływem tych fal czy promieni, to jest śmieszne!

— Ja nie mówię, że takie natężenie jest, to jest maksimum, a przecież ta maszyna nie może wytwarzać takich ciśnień ani temperatur...

— A skąd pan wie?

— No, pan się mnie pyta, panie inżynierze. Przecież samo tylko ciśnienie promieniowania ciała o takiej temperaturze kładzie wszystko w promieniu kilkanaście kilometrów... a u nas wszystko, chwała Bogu, stoi. — Zapukał zgiętym palcem w stół.

Profesor Widdletton nie mógł wytrzymać:

— Pan tu nie przyjechał, żeby w drewno pukać, kochany panie Gedevani — zauważył słodko. — Proszę, jakie są pańskie propozycje?

— Ja chcę wiedzieć, czego pan chce?

— Ależ to jasne, czyż nie? Ja chcę przeprowadzić eksperyment zaproponowany przez doktora.

— A on polega?

— Czy pan pamięć stracił? Będziemy działać atmosferą Marsa...

— Po co?

— Żeby maszyna wróciła do normy.

— A skąd pan wie, jak się ta norma objawia?

Od kilku chwil czułem wzmożone tętnienie krwi w głowie. Zauważyłem też, że wszystkim poczerwieniały lekko twarze — żyły nabrzmiały na czole.

Nagle dało się odczuć wstrząśnienie, jakaś szyba wypadła z brzękiem szkła na niższym piętrze — wszyscy zamilkli.

Wtem drzwi po prostu pękły i jakieś stworzenie oszalałe ze strachu, z pianą na ustach wpadło do biblioteki.

— Burke, co to jest? — zawołał profesor. — Czy pan się upił?

— Profesorze, ratunku! On tu idzie! On idzie tu! — zawołał szofer, którego twarz strach zmienił w popielatą maskę.

— Kto? Czy pan oszalał...

W tej chwili wbiegł do sali inżynier.

Z twarzy ciekła mu krew, cały był pokryty kurzem i tynkiem.

— Panowie, uwaga, on się wyrwał! — zawołał, dysząc ciężko.

— Co, gdzie, jak? — Wszyscy wstali, nie, raczej podskoczyli z krzesel.

Zauważyłem jeszcze, że Mr Gedevani dopadł do okna, krzycząc coś — w tym momencie stalowy głos uderzył w chaos i zmienił go w momentalną ciszę.

— Tchórze!

To zawołał profesor. Mała jego postać jakby wyrosła, z błyszczącymi oczyma, pochylony stał za stołem, opierając się oń silnie.

— Proszę się w tej chwili uspokoić! Panie inżynierze, co się stało?

— Maszyna wyszła z kamery, nie wiem, w jaki sposób, byłem na dole, przy drzwiach elektrometr wykazał ogromnie silne promieniowanie, które podnosiło się w przerwach dwunastosekundowych. Wtedy poszedłem na parter, żeby zmierzyć, czy i jakie jest promieniowanie na stropie kamery; w tej chwili uczułem wstrząśnienie, które mnie rzuciło na ziemię, aparaty się rozbiły.

W tej samej chwili rozległ się na podwórzu — czy też od strony frontu — straszny krzyk,

który wbił się w nasze uszy, aż wszyscy drgnęli i zwrócili się do okien. Krzyk powtórzył się, rozległo się zdławione charkotanie, które przeszło w słyszalny w niezwyklej ciszy bełkotliwy szloch — i wszystko umilkło.

— Nic pomóc nie możemy — profesor rzucał słowa ciężko i powoli. — Nie wiemy, co on może zrobić, jak trzeba się bronić, musimy tylko radzić.

— Ależ my tu zginiemy, nie, ja wyjeżdżam — to był Gedevani.

— Proszę, drzwi są otwarte, ja nikogo nie wstrzymuję, moje miejsce jest tu, choćbym miał zginąć w środku słowa — profesor miał twarz jakby wyrzeźbioną z kamienia. Dalibóg, był to potężny staruch! Gedevani opadł na krzesło.

— Jak on wyszedł, dokąd i co robi? — spytał profesor.

— Nie wiem, nie widziałem, może Burke? — mamrotał inżynier, którego siły wyczerpały się. Opadł na krzesło i dyszał, wycierając chusteczką z czoła i włosów krew zmieszana z wapnem.

Burke, który, jak się okazało, schował się między dwie szafy biblioteczne, został wyciągnięty przez doktora. Ten powoli, flegmatycznie wyjął z kieszeni na piersi futerał, wyszukał ampułkę środka nasercowego i zrobił wielkiemu, trzęsącemu się mężczyźnie zastrzyk. Po tym włożył strzykawkę do futerału i zwrócił się do profesora:

— Jeżeli to tak dalej pójdzie, to wkrótce wyjdą mi wszystkie ampułki, nie przewidziałem takiej epidemii.

Silił się na jowialność — profesor wzruszył ramionami — wydało mi się teraz, że ta jego gadatliwość i roztrzepanie były maską, za którą tkwił jak w łupinie orzecha rdzeń diabelnie twardy i mocny.

— Burke, gadaj pan, co pan widział?

— Panie profesorze, czy on tu nie przyjdzie? — szofer dygotał jeszcze lekko.

— Nie! No, mów, ośle jeden.

— Stałem koło windy, nagle, nagle widzę jakiś błysk, niby niebieskie światło, patrzę, gdzie są drzwi, a tu tylko kurz, taki kurz, jakby się sufit oberwał, i z tego kurzu wysuwa się...

Zatrząśł się, twarz mu zbielała.

— No co? Co pan widział?

Wszyscy stali kołem wyprężeni, bladzi, profesor przechylił głowę i jego czarne oczy zdawały się płonąć jakimś ogniem nieśmiertelnym. Pomyślałem w tej chwili, że nawet Marsjanin nie wytrzymałby takiego spojrzenia.

— Wielka czarna głowa cukru szła pomaleńku, a przed nią i za nią takie dziwne węże w powietrzu, jakby macki, szła, kiwała się na boki i raz uderzyła o filar muru, uczułem wstrząśnienie.

— Aha, to wtedy było, więc on drzwi nie wyrwał — szepnął do mnie Fink.

— Widzę: cegły lecą, nogi mi się odkleiły i wpadłem do windy, chwała Bogu jeszcze działała — zakończył szofer, oglądając się z obłądną trwogą w oczach na drzwi.

— Psiakrew, głowa cukru, przed którą trzeba uciekać — zaczął ktoś za moimi plecami. W tej chwili powietrze sali rozdarł jeden chóralny okrzyk.

Zaciemniło się nieco, przez okno ujrzałem gęste chmury pary — wrzącej pary.

— Jezioro kipi — krzyknął ktoś. Jakoż woda w jeziorze wrzała i bryzgała w małych wirach, które zlewały się razem. Zjawisko to trwało pięć minut i przeszło tak szybko, jak się zaczęło.

— Zdaje mi się, że rozumiem: maszyna częściowo przyszła do normy, ale niezupełnie, jest jakby po naszymu pijana, stąd to uderzenie w mur, stąd to kołysanie się, stąd też, zdaje się, to widowisko — profesor mówił powoli, trąc dłonią czoło. — Hm, widocznie przystosował się do naszej atmosfery... Panowie.

Na brzmienie tego głosu wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Panowie, pozostaje ostatni środek: trzeba użyć naszych miotaczy. Kilka blisko

eksplodujących min z mieszaniny tlenu węgla, chloru i acetyleny powinno poskutkować. Jeżeli zmienimy mu skład powietrza po raz drugi, to znowu wpadnie w stan nieruchomości, który potrafimy lepiej wykorzystać.

Myśl zdawała się dobra.

— Trzeba pójść do podziemi po miotacze i miny — powiedział ktoś.

— Kto to powiedział? Proszę... Wszyscy spojrzeli na siebie.

— No, co to jest? Nikt nie chce zejść na dół?

W uszach tętnił mi jeszcze ten straszny krzyk, krzyk człowieka, który widzi swoją zbliżającą się śmierć.

— Ja pójdę! — powiedziałem.

— Dziękuję, Mc Moor, pan nie orientuje się jeszcze u nas, ja sam pójdę — profesor odszedł od stołu.

Życie weszło w gromadkę mężczyzn:

— Idziemy wszyscy!

Profesor spojrział na nich, jakby przepraszając:

— Nie trzeba, moi panowie, wystarczy trzech. Niech idzie doktor, inżynier i Mc Moor.

Wyszliśmy z sali. Na korytarzu leżała lekka warstwa tynku, bieląc ciemny chodnik. Poza tym było cicho i spokojnie. Wsiadliśmy do windy, która opuściła nas do podziemi. Panował tam chaos. Jeden z filarów podpierających strop był niemal do połowy wyszczerbiony, wyszarpany żelazobeton w postaci rozdartej siatki pełnej okruchów cementu, piasek i tynk zaścielały podłogę, po której się stapało.

— Cóż to za siła diabelska! Ależ on nie jest wyższy niż półtora metra — szepnęła inżynier. — Ważyliśmy go zresztą, niespełna czterysta kilo...

Niemal biegiem doszliśmy do końca korytarza. Powietrze było czuć nieznośnie, jakiś cikliwy zapach, który czułem, choć daleko słabiej, podczas pierwszych oględzin potwora.

W znanej mi stalowej kwaterze inżynier wyjął z kilku szafek długie obłe pociski gazowe, znaczone kolorowymi pierścieniami u nasady, i każdego z nas obładował sześcioma, dla siebie przeznaczając jeszcze trzy i dwa miotacze raketowe w postaci małych saneczek z podstawą aluminiową, ogromnie lekkiej i prostej konstrukcji.

Każdy z nas zawiesił sobie po kilka masek gazowych przez plecy i ruszyliśmy w drogę powrotną, którą przebyliśmy bez przeszkód.

W bibliotece napięcie nieco zelżało, gdy ujrzano nas wracających szczęśliwie.

— Proszę panów, zaczynamy! — powiedział profesor, wydając każdemu maskę gazową. — Maski trzeba nosić aż do chwili, kiedy ja wydam inny rozkaz. W razie gdyby mnie... gdybym nie mógł rozkazu wydać, dowodzi Mr Frazer, a po nim inżynier Fink.

Wyszliśmy z biblioteki, niosąc pociski. Profesor prowadził na wyższe piętro, potem na czwarte, wreszcie weszliśmy po wąskich schodach do małej kopułki, która znajdowała się na dachu. W kopułce tej stało kilka stołków, mała luneta ziemską na statywie i kilka przyrządów meteorologicznych.

Mężczyźni przystąpili do małych okienek w bocznych ścianach tego dosyć ciemnego locum i poczęli się rozglądać. Mnie trafił się otwór wielkości może głowy, wybity dla wysuwania lunety, przez który ogarniałem puste pola, które od strony północnej oddzielały nas od Nowego Jorku. W odległości kilku kilometrów widniała zaciemniona część nieba — były to dymy wielkiego miasta.

Pola pod wczesną w tym roku wiosnę obsypane wysoką zieloną runią. Młoda zieleń świeciła na drzewach. Ale oczy moje wytężając się aż do bólu, nie obserwowały dla przyjemności — każdy punkt, każde zaciemnienie terenu wydawało mi się podejrzanym.

— Jest! jest! — to zawołał profesor. Wszyscy cisnęli się. Spojrzałem, czy mogę z mojego otworu patrzeć w kierunku, który on wskazywał.

Ale już ktoś opuszczał część wypukłego stropu, odsłoniło się prawie pół horyzontu i

ujrzałem wyraźnie, jak w odległości trzystu–czterystu metrów jakaś sylweta czarna, mocno odbijająca światło słoneczne, jakby natłuszczona, bardzo powoli i równo posuwała się wśród młodego zboża, znacząc drogę wąską koleiną rozdeptanych źdźbeł.

— Szybko, miotacze — profesor był już znowu spokojny, przystawił ramki celownika do twarzy i pomagał inżynierowi wsunąć pociski do prowadnicy.

— W imię Boże, uwaga, proszę jednocześnie kryć ogniem i uważać na jego reakcję. Pal!

Rozległ się dosyć słaby huk, zapach spalonego kordytu rozszedł się w półotwartej kopule, dwie smugi dymów wybuchowych znaczyły paraboliczną drogę pocisków, które rozerwały się niemal jednocześnie o kilkanaście metrów od celu. Od razu w chwili wybuchu zauważyłem, że sylwetka przystanąła i węże, które jak ruchome macki niosła przed sobą, wysunęły się wyżej i na boki.

— Pal!

Druga salwa leżała lepiej, ale słaby podmuch min nie mógł nawet przewrócić maszyny. Zdawało mi się, że słyszę, jak biły w nią odłamki, ale to chyba było przy tej odległości złudzeniem.

— Pal!

Tym razem pociski były, zdaje się, chlorowe, gdyż po wybuchu podniosły się ciemne chmury gazu. Kiedy wiatr zwiął je nieco i przeszły, ujrzałem, że czarny mały stożek kiwa się śmiesznie na boki.

Nagle po młodym zbożu poszła długa, cienka struga ognia, jakby kto lał płonącą benzynę po ziemi — zieleń schła, czerniała i momentalnie stawała w ogniu — smuga ognia szła z kolosalną szybkością ku nam, dochodziła niemal do budynku.

— Pal!

Nowy huk targnął powietrzem. Uczulem uderzenie w pierś fali wrzącego powietrza — z wstrzymanym tchem padłem na podłogę.

Kiedy się z niej zerwałem i przyskoczyłem do parapetu, było już po wszystkim. Zieleń jeszcze nieco dymiała, ale mały czarny stożek leżał na boku, a jego macki były bezładnie rozrzucone na wszystkie strony.

— Mamy go!

Odwróciłem się. Profesor Widdletton odstał od dymiącego jeszcze miotacza, zerwał z twarzy maskę i wyjął z kamizelki cygaro:

— Panowie! Proszę na dół, zaczyna się druga część naszego zadania.

III

Kiedy czarny lśniący stożek spoczął nareszcie nieruchomo w oślepiającym blasku lamp łukowych, inżynier Fink otarł sobie pot z czoła grzbietem ręki, poprawił przekrzywiony krawat i spoglądając na spotniałe czerwone twarze otaczających mężczyzn, powiedział:

— Teraz mamy go, musimy się zastanowić, co robić dalej.

Profesor Widdetton, który jako jedyny nie nosił azbestowo-ołowianego skafandra i dlatego stał za ścianką, zbudowaną naprędce ze złożonych w stos płyt ołowianych, zbliżył się, patrząc na swoją złotą cebulę, ze słowami:

— Panowie, już dwanaście minut jesteśmy wystawieni na działanie promieni, proszę za mną.

Wyszliśmy, rzucając niezbyt spokojne spojrzenia na tę wielką czarną bryłę. Wychodząc ostatni, spojrzałem raz jeszcze. Dziwny ten stwór leżał na drewnianych kozłach, trzy węzownice, wychodzące z boków, spoczywały w bezładnych splotach na ziemi. Znany metaliczny terkot dobiegał z wnętrza w bardzo wolnych odstępach czasu, przerywany cichym syczeniem, czy raczej suwaniem, metalicznych płaszczyzn. Światło grało w błyszczącej czarnej powłoce, odbijając się mocniej w niektórych punktach powierzchni, posiadających wypukłe, szkliste wsadki, jakby ślepe oczy. Dreszcz mi przeszedł po grzbiecie — z ulgą zamknąłem drzwi. Szliśmy parami korytarzem wiodącym do windy.

— Jak pan sądzi, doktorze, czy dawki promieni mogą się sumować? To znaczy, czy jeżeli teraz nie będziemy im poddani kilkanaście minut, czy też pół godziny, może godzinę, czy nowa porcja naświetlania nie doda się w szkodliwym działaniu do poprzedniej?

Doktor rozłożył ręce:

— Nie wiem, drogi profesorze, nie wiem nic. Jeżeli chodzi o analogię z radium, to trzeba stosować dłuższe przerwy, co najmniej kilka dni.

— O, źle — mruknął profesor. — Tu trzeba działać natychmiast.

Po kilku chwilach siedzieliśmy w wygodnych fotelach biblioteki. Z ulgą zaciągnąłem się dobrym papierosem. Mięśnie drżały mi jeszcze po wysiłku: musieliśmy sami przenieść unieszkodliwionego potwora do kamery doświadczalnej, zanimby nie nastąpiła remisja.

Profesor zapalił swoje zgasłe cygaro.

— Proszę panów, sytuacja jest jasna: albo zostawiamy naszego miłego gościa i dajemy drapaką setki mil stąd, im dalej, tym lepiej, albo też przystępujemy do akcji już, w tej chwili. Trzeciej drogi nie widzę, jeżeli nie chcemy, żeby się nam rozlaź pod palcami, obracając nas samych w pył atomowy...

— Profesorze, pozwól pan — zaczął Frazer. Twarz jego błyszczała w zachodzącym słońcu. — Jedynym sposobem, jaki widzę, jest rozebranie maszyny na nieszkodliwe części, względnie odłączenie kamery, to jest regulującego żywego centrum. To centrum, jak wiadomo, posiada w okienku kilka małych otworków, służących prawdopodobnie do oddychania. Gdyby tak nie było, nie moglibyśmy zatruć go tak szybko. Otóż, powtarzam, trzeba je jakoś odłączyć...

— Próba ta jest równoznaczna z wydaniem wyroku śmierci — zauważył cicho profesor. — Jeżeli bym spytał, który z panów spróbuje zrobić tę operację pod kierownictwem i według wskazówek naszych dwu inżynierów, kto by się zgłosił?

Nie patrząc na siebie, wszyscy mężczyźni wstali. Ja sam nie wiem, jak wstałem, ale w pewnej chwili ujrzałem zwrócone na nas czarne, lśniące teraz ciepło oczy profesora.

— Dziękuję wam, panowie. Byłem tego pewny. Ale marnować życia daremnie nie pozwalam. Panie inżynierze, czy ma pan jakiś projekt?

Tak wyglądało, bo Fink kreślił coś gorączkowo w podręcznym bloku; smarował jakieś formuły na papierze, aż wstał nagle:

— Panowie: jest. Trzeba użyć klisz fotograficznych.

— Ależ to na nic — powiedziałem. — Te promienie z pewnością spalą kliszę...

— A jeżeli nawet, nic nie szkodzi. — Fink zdawał się nie być zrażony moją opozycją. — Naświetlimy szereg klisz, eksponując je w różnych miejscach maszyny, i po pierwsze, odnajdziemy w ten sposób miejsce, które wydziela te promienie, a po drugie, uzyskamy, być może, jakieś chociażby niejasne pojęcie o wewnętrznej strukturze maszyny.

— A to w jaki sposób? — spytał doktor.

— Całkiem prosto: różne części aparatu pochłaniają produkowane w jego wnętrzu promienie w różnym stopniu i dadzą na kliszy, przyłożonej do stożka, cienie podobne do rentgenowskich, po których, być może, poznamy zarysy budowy wewnętrznej.

Profesor skinął głową.

— Proszę pana, panie inżynierze, niech pan to zrobi — ale zaraz dodał, widząc, że Fink wstaje: — Niech kto pójdzie z panem i uważa przez szczelinę w drzwiach pancernych, czy panu się coś nie przydarzy. Kontrola taka będzie na przyszłość obowiązkowa i konieczna. My zaś pomówimy dalej.

Ponieważ, jak się wydawało, nikt nie chciał opuścić interesującego zebrania, zgłosiłem się i poszedłem z inżynierem. Po drodze do kamery wziął on grubą paczkę klisz, które opakował potężnymi płytami ołowiu. Ważyły tyle, żeśmy te klisze ledwo do miejsca przeznaczenia donieśli. Tu inżynier kazał mi patrzeć przez filtr ze szkła ołowiowego, wpuszczony w płytę pancerną drzwi, a sam wziął kilka płyt do rąk i wszedł do kamery. Usunąwszy osłonę ołowiową, naświetlił jedną, potem drugą, i tak robił dalej, przytykając klisze do coraz to innego miejsca czarnego stożka, postępując systematycznie w linii spiralnej. Wszystko to odbywało się w absolutnej ciszy, przerywanej tylko dalekim, cichym cykaniem, dobywającym się z wnętrza maszyny. Kiedy inżynier wyszedł, zauważyłem, że twarz miał czerwoną. Jak mi się zdawało, był to pierwszy objaw szkodliwego działania promieni. Nic jednak nie powiedziałem, nie chcąc go niepokoić, i poszliśmy do laboratorium.

Inżynier wszedł ze mną do małej ciemni, zachlupotały odczynniki i zapłonęło małe rubinowe światelko. Płyny przelewały się w mieszalkach, strumień wody ciekł z kranu. Osunąłem się na taboret. Odczuwałem ogromne zmęczenie i zdawało mi się, że nie spałem chyba od miesiący. Ale inżynier pochylił się nad kliszami i momentalnie zapomniałem o znużeniu i bezsenności — już byłem przy nim. Klisza pod światło ukazywała jedno zaczerwienione miejsce, jakieś niewyraźne równoległe smugi, w samym centrum była spalona zupełnie. Druga dała obraz podobny. Wszystkie inne, które brałem do ręki, były spalone.

— Na nic, psiakrew — zaklął inżynier. — Trzeba robić jeszcze raz. Tylko skrócimy dwa razy czas ekspozycji: diabelnie przenikliwe są te promienie.

— Pan już nie pójdzie, panie inżynierze — powiedziałem. — Teraz moja kolej. Dostyc z pana. Kiedy wyszedł pan z kamery, miał pan czerwoną twarz, a wie pan, co to znaczy.

Inżynier protestował, ale postawiłem na swoim. Poszliśmy znowu po płyty i z nowym zapasem wszedłem do kamery. Przyznaję, że w pierwszej chwili było mi nieswojo. Pierwszy raz byłem sam na sam z naszym tajemniczym, śmierciodajnym gościem — a jego tykanie, chwilami podobne bardzo do słabego ludzkiego rżenia (a może była to tylko gra mojej wyobraźni) także nie działało uspokajająco.

Przykładałem szybko klisze, patrząc na umocowany na przegubie stoper i wybiegłem z naświetlonymi z kamery, gdzie je przejmował ode mnie inżynier. Gdy ostatnia klisza została eksponowana, poszliśmy do ciemni.

I znowu te ciągnące się minuty naprężenia, płyty chlupotały w szerokich miskach, jakieś plamy pojawiały się na ociekającym wodą szkłe, jakieś cienie znaczyły się, potęgowały, jaśniały... Dwie klisze były spalone. Inżynier sprawdził ich numery, porównał z planem maszyny i powiedział:

— Centrum promieniotwórcze jest między dwoma dolnymi, szklistymi otworami. Tam się

te dwie płyty spaliły.

— A reszta? — spytałem, usiłując zaglądać mu przez ramię.

— Jeszcze chwila, tylko dam do utrwalacza. Stoper tykał w ciemności, słychać było nasze przyspieszone oddechy.

Wreszcie inżynier wyjął płyty z kąpieli i wyszliśmy na korytarz.

— Oto pierwsza: splot jasnych i ciemnych smug, jakieś linie, a to, czy to nie owalny słaby cień? Tak, ależ to jest...

— Tak, to jest gruszka centralna, ma pan słusność. Ten cień wskazuje na to, że ona jest nieprzenikliwa dla promieni, i to wyjaśnia już jedno, mianowicie, że działanie emisji jest dla plazmy zawartej w gruszce nieszkodliwe tylko dlatego, że ona jest z jakiegoś zagadkowego materiału, który tych fal nie przepuszcza.

Druga i trzecia klisza: dalsze szczegóły w postaci nawarstwionych cieni, krzyżujące się smugi ciemniejsze i jaśniejsze...

— Te bardzo ostre — objaśniał mnie inżynier — pochodzą od kabli, czy też rur przechodzących przy samej powierzchni, do której pan klisze przykładał, a te zamazane z części bardziej odległych.

— Czy pan coś wie, czy pan się jakoś orientuje? — zapytałem cicho.

Inżynier uśmiechnął się.

— Zbyt dobre ma pan pojęcie o mojej wiedzy... Na razie wiem tyle co pan. Trzeba będzie zrobić kilka szkiców.

Udaliśmy się do laboratorium, gdzie Fink wziął do ręki ołówki i począł rzucać na wielki, rozpięty na desce arkusz jakieś proste i krzywe, rzutował je, obracał klisze na różne strony, aż wreszcie na białym papierze ukazał się splot konturów, który w całości przedstawiał bryłę obrotową zbliżoną do stożka.

— Mechanizm poruszający jest już prawie jasny... — mruzczał inżynier — ale co nam z tego... Jak wyjąć to diabelne jądro ze skorupy, oto orzech.

— Czy przynajmniej jakaś zasada konstrukcji jest dla pana zrozumiała? — spytałem.

— Widzę, że jest to diablo zawile, są tam części mające niewątpliwie coś wspólnego z układami transformatorowymi, jakby kable, ale co, u licha, jest źródłem energii? Pojęcia nie mam. Nie widzę żadnych części obrotowych.

— Wydaje mi się, że stukot wychodzi raczej z górnej części stożka — zauważyłem. — Może się mylę.

— Nie, mnie to też się nasunęło, tam jest część ruchoma: to będzie to — zdecydował, wskazując na cień niewyraźny, jakby trójkąta o różnych bokach, który wyglądał jak...

— Ależ tak, panie inżynierze — zawołałem — toż to wygląda całkiem jak bąk, dziecinny bąk...

— Myśli pan? — inżynier zmarszczył brwi. — Zasada żyroskopowa, a więc jego sercem byłby żyroskop. Zdaje mi się, że ma pan rację — powiedział po chwili i rzucił parę linii na rysunek. Teraz w centrum bryły widniał bąk podobny do dwu stożków złączonych podstawami. Był on umieszczony w przerwie centralnego cienia — jakby rury, która szła środkiem maszyny, przerywając się dla przyjęcia bąka, a kończąc w górze rozetą, na której umieszczona była tajemnicza gruszka.

— Idziemy — powiedział inżynier, wyrwał z deski kilka pluskiewek, które trzymały papier, zwinął go w rulon i wziął pod pachę.

Nasze wejście zostało przyjęte w naprężonym oczekiwaniu. Inżynier rozłożył papier przed profesorem i objaśniał krótko.

— Zasada działania jest mi zupełnie niezrozumiała

— powiedział. — Widzę drogę, jedyną: trzeba zatrzymać promieniowanie, oto *conditio sine qua non*.

Widdletton patrzył na niego spod przymrużonych powiek i słuchał w milczeniu.

— Ponieważ jedynym, jakby centralnym elementem mechanicznym jest ten bąk, czy też żyroskop, odkryty właściwie, a nie jest to zresztą stuprocentowe, przez McMoora — wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem — trzeba go zatrzymać. Ten rozwiany cień na kliszy wskazuje, że to jest jedyna część ruchoma. Nie wiem, może to głupia analogia z sercem ludzkim, ale wydaje mi się, że trzeba to unieruchomić. Może wtedy będzie można się zająć demontażem...

— A jak pan to chce zrobić? — spytał profesor.

— Widzę jedyny sposób: jak wiadomo z tragicznego doświadczenia profesora Hawłeya, atakować centralnej gruszki z plazmą nie można, próbę wyjęcia jej przypłacił on śmiercią. Trzeba wobec tego przebić pancerz stożka w tym miejscu — rzucił czerwoną kredę na arkusz — i za pomocą jakiegoś instrumentu wstrzymać żyroskop w jego akcji.

Nastąpiło milczenie. Przerwał je doktor:

— Założmy, że samo wiercenie dziury w pancerzu odbędzie się w ciszy i spokoju. Przypuszczam jednak, że taki organ, jak to tak zwane serce, jest jakoś od intruzów broniony, i że próba zatrzymania go skończy się smutno.

— Ja także jestem o tym przekonany — powiedział inżynier — ale innej drogi nie widzę. — I usiadł. Widdletton rozglądał się szczegółowo w rysunku, porównywał go ze zdjęciami, a potem spojrzął na zegarek.

— Moi panowie — powiedział — tu nie chodzi o mądrość czy głupotę. W tym wypadku ja nie jestem już waszym przywódcą, proszę, będziemy głosować: czy mamy pójść za propozycją inżyniera Finka? Proszę się dobrze zastanowić, może jest inny projekt?

— Ja mam projekt... — powiedziałem. — Trzeba zrobić tak: dziurę wywiercić automatyczną wiertarką sterowaną na odległość. To się da zrobić. A obserwacje prowadzić przez zmontowany w kamerze telewizor i odpowiednio działać.

— Odpowiednio, to znaczy jak? — spytał Frazer.

— Może uda się wykombinować taki przyrząd, który by mógł, sterowany na odległość, demontować maszynę... coś w rodzaju robota...

— Myśl jest bardzo dobra — powiedział inżynier — ale, niestety, czasu mamy mało. Takich aparatów gotowych nie ma, a zamówić, nawet drogą lotniczą, to potrwa co najmniej trzy dni.

— Tyle panu nie daję — powiedział profesor. — Do dwunastej, do pół na pierwszą najdalej, musimy już coś osiągnąć.

— W tym czasie to wykluczone — powiedział Fink — ale jest inna możliwość: wysadzić stożek w powietrze, na przykład ekrazytem.

— Co, zniszczyć?! Nie, nigdy — rozległy się zmieszane głosy.

— Panowie, jestem z was dumny! — profesor Widdletton wstał. — Pytam raz jeszcze, czy mamy postąpić według propozycji inżyniera Finka?

— Tak!

— A więc proszę do pracy. — Profesor patrzył na Finka. — Jakie pan daje optymalne warunki ochronne?

Fink namyślał się.

— Skafandry muszą nosić wszyscy, na korytarzu też, przy kamerze będzie zawsze tylko jeden człowiek, pociski gazowe muszą być w pogotowiu i maski przeciwgazowe dla nas. Pierwszy etap to jest wiercenie. Myślę, że to się da zrobić tak, jak powiedział McMoor, już o tym myślałem. Tylko obserwować trzeba będzie przez szczelinę w drzwiach. Co dalej, to się zobaczy.

Korytarz był pusty. Przyszła moja kolej — stałem przy drzwiach stalowych, trzymając przy ustach słuchawkę naprędcę założonego telefonu i zaglądałem z wytężeniem do wnętrza kamery. Byłem już drugi — po doktorze — i patrzyłem, jak w bładoniebieskim świetle elektrycznym syczała i gwizdała cicho wiertarka, przystawiona na żelaznej podstawie do

kozłów z tajemniczą maszyną.

Szerokie wiertło ze stali wanadowo — krzemowej wpijało się w twardą skorupę stożka. Nitka światła drgała w jego wirujących skrętach. W jednej ręce ścisnąłem słuchawkę, w drugiej — wyłącznik elektryczny wiertarki, wyprowadzony za drzwi kamery, i czekałem. Na razie nic się nie działo — wiertło zagłębiało się zupełnie niewidocznie, ale znając już niespodzianki tego mechanicznego potwora, byłem napięty do ostateczności.

— No, co tam? — rozległ się w słuchawce głos profesora.

— Wszystko po staremu — odpowiedziałem. — Dziura w zębie wierci się, ale diabelnie powoli. Może trzeba zmienić wiertło?

Słyszałem, jak profesor mówi do kogoś — pewno do inżyniera — gdy wtem skamieniałem. Długi na dwa metry albo i więcej czarny wąż leżący na podłodze drgnął, potem poruszył się drugi, słaba fala skurczu przesunęła się przez stalowe zwoje i spłynęła po nich w przeciwnym kierunku.

— Profesorze! — powiedziałem. — Nie! — wrzasnąłem do słuchawki. — On się rusza, rusza mackami, czy mam wyłączyć wiertarkę?

— Nie! Jedź pan dalej, w imię Boże! — rozległ się słaby, daleki głos. Czekałem dalej. Nie jestem tchórzem i nigdy nim nie byłem, ale czułem, że zaczynam się oblewać zimnym potem. Czekałem. Czekałem i czekałem, i wiedziałem, że coś się musi stać. I to, że niebezpieczeństwo było takie tajemnicze i niewiadome, było gorsze, daleko gorsze od lęku przed śmiercią.

Jedna węzownica podniosła się z ziemi, świsnęła w powietrzu jak piekielny stalowy bicz i uderzyła o wiertło. Rozległ się cienki, wysoki, świdrujący w uszach dźwięk pryskającej stali — odłamki rozleciały się. Zacisnąłem rękę z wyłącznikiem — wiertarka stała.

— Profesorze, on rozwalił wiertło swoją przeklętą łapą! — zawołałem do słuchawki.

— Zaraz tam będę.

Czekałem znowu. Tymczasem stwór uspokoił się i nie zauważyłem już żadnych oznak ruchu czy też życia.

Profesor przyszedł niemal bezszelestnie, w towarzystwie inżyniera, który niósł w rękę nowe wiertło. Odstąpiłem na stronę, spojrzeli przez przeziernik.

— Machnął węzownica, co? — profesor kiwał głową.

— A to uparte bydlę, no?

— Myślę, że trzeba mu dać porcję gazu, a może spróbować jakiegoś nowego środka, na przykład chloroformu czy eteru, co?

— Tak żeby go całkiem otruć, co? — powiedział profesor z takim oburzeniem, jakbyśmy stali przy łożu boleści najdroższej dla niego osoby.

Fink skinął głową:

— Profesor ma rację. Strata jednego z nas jest do zastąpienia, gdybyśmy go jednak zabili, czy też zniszczyli, nie da się to już naprawić... — po czym odsunął rygiel kamery i wszedł do środka.

Czekaliśmy z zapartym tchem. Inżynier usunął powoli nogą odłamki świdra, założył w głowicę wiertarki nowy, nastawił go i wyszedł. Był niby spokojny, ale na korytarzu otarł chustką czoło.

— Jazda dalej, Mc Moor, włącz pan prąd! Nacisnąłem guzik. Wiertarka zawyła i poczęła pracować.

Długie chwile mijały w naprężonym oczekiwaniu.

— Wszystko niby dobrze — powiedział profesor. — Chodźmy, inżynierze, a pan stoi jeszcze dziesięć minut. Zaraz pana zmieni Gedevani.

Odeszli. Uczułem się ogromnie samotny. Patrzyłem w natężeniu — patrzyłem: co to się działo.

Znowu fale skurczów chodziły po bezwładnych mackach. Ze stukiem przewalały się

sprężyste obłe węże po betonowej podłodze.

Nagle macki podniosły się powoli, ruchem drgającym, i zawisły w powietrzu — tylko ich końce dygotały szybko, wahając się w różne strony. Zobaczyłem, jak korpus wiertarki drgnął — świder zapadł się lekko. Aha! koniec, już jest dziura — pomyślałem, po czym nacisnąłem (zupełnie nieświadomie) wyłącznik. Ale to było niepotrzebne.

Ujrzałem niebieski błysk. Potem ogromny orkan gorącego powietrza rzucił mnie na przeciwną ścianę — uczułem straszliwy ból w głowie i straciłem przytomność.

Kiedy się zbudziłem, był już ranek. Leżałem w swoim pokoju, a doktor siedział na moim łóżku i układał na kołdrze pasjansa.

— Aha! Już pan jest wśród żywych. No, jak się pan czuje? — zagadnął, zbierając karty.

Otworzyłem z trudem zaschłe usta:

— Doktorze, no? Jak jest? Czy on znowu uciekł?

— Ach, nie interesuje pana nawet dziura we własnej głowie, tylko los pupilka z Marsa? Co?! Nie, nie uciekł. To był jego dowcip ostatni, na razie. Świder opadł na ten sprytny mechanizm, na to niby serce, i w tym swoim jakby konaniu narobił, oj, narobił bigosu, powiadam panu, co tam się działo! Pan pewnie tego nie widział, bo i jak? — doktor trząsał głową. — Przybiegliśmy, a tam korytarz pełen kurzu, tynk na chodniku, oho, myślę, już po naszym reporterze. Drzwi do kamery niemal wyrwane, wiszą na jednym zawiasie, rusztowanie połamane, pan Marsjanin leży na podłodze, a wiertarka, nie do wiary!, stopiona na żużel, kompletnie nic z niej nie zostało. Inżynier mówi, że tam musiało być przez chwilę jakieś sześć, siedem tysięcy stopni ciepła... Jak panu było w tej łaźni?

— Pamiętam tylko jakiś błysk i straszne uderzenie w głowę, aha, i przedtem podmuch straszliwego ukropu, to pewno było powietrze.

— Drzwi pana uratowały i to, że się pan cały owinał w azbestowy chodnik, padając. Powinien pan podziękować Finkowi, to jego pomysł te chodniki z azbestu. Ten podmuch owinał pana w azbest jak jaki pakunek i gdyby nie to, że się pan lekko stuknął w głowę...

— Jak tam? — wyciągnąłem potłuczoną rękę spod kołdry i dotknąłem głowy. Szumiała trochę, ale była cała, tylko wąski bandaż na czole.

— Była dziura w murze, a jakże — nie przestawał gadać doktor. — Ale Szkoci, oj, Szkoci, wy macie twarde głowy, a pogrzeb też dosyć kosztuje, co? ha, ha, ha! — śmiał się — więc pan postanowił żyć dalej.

— Doktorze, mów pan, na Boga, co się dzieje? Co robią dalej?

— Aha, na miłość boską, co? A przedwczoraj, jak się pan od nas wyrywał... No już mówię, już mówię — dodał, bo widocznie zrobiłem zirytowaną minę. — Już go powolutku rozmontowują, bo, jak panu rzekłem, to żelazne serce stanęło pod wpływem uderzenia świdra. Kamera z tą plazmą czeka już pewnie na mnie w laboratorium — spojrział na zegarek — bo trzeba panu wiedzieć, że ja jestem lekarzem tylko tak sobie, na żarty, a naprawdę to ja jestem biolog. Biolog z przekonania — deklamował, szykując się do odejścia.

— Idę z panem!

— Ależ pan oszalał! Pan powinien leżeć, to wykluczone.

Wstałem z łóżka. Nogi miałem miękkie w kolanach i głowa trochę szumiała, ale poza tym czułem się nie najgorzej.

Ubrałem się szybko, wziąłem doktora pod rękę i wyszliśmy na korytarz. Spojrzawszy na zegarek zobaczyłem, że jest dziesiąta.

— Aha, będzie zaraz konferencja — powiedziałem. — Pójdę do biblioteki. — Doktor skinął mi głową i ruszył w kierunku schodów wiodących do laboratorium. Zjechałem windą na pierwsze piętro.

Zostałem tu przywitany entuzjastycznie.

— Oho! Jest bohater dnia. Jak się pan czuje? Ścisnąłem wszystkim ręce, profesor kiwnął mi z uśmiechem głową.

Zauważyłem też inżyniera Lindsaya, który siedział przy oknie. Trochę był blady, ale poza tym nie wykazywał żadnych objawów osłabienia.

— Witam towarzysza niedoli — powiedział.

Inżyniera Finka nie było.

— Co słyhać z naszym gościem? — spytałem.

— Ciekawe rzeczy, drogi panie, ciekawe rzeczy. Przede wszystkim: już wszystko jest dobrze. Plazma jest, zdaje się, w porządku, bo w gruszce jest normalne pulsowanie.

— A co z promieniowaniem?

— Ustało! Od razu ustało po tej eksplozji. On jest teraz bezpieczny jak stara puszka od konserw — profesor zaśmiał się drobnym chichotem. — Teraz plan jest prosty: musimy wymontować wszystko, co służy mu do promieniotwórczości i do niszczenia w różny sposób, wie pan, te strugi ognia, wrzenie wody w stawie i cały ten hokus pokus, potem postaramy się go złożyć i będziemy z nim gadać.

— Jak to gadać? — spytałem zdumiony.

— No, jakoś chyba nas zrozumie? Wsadzimy go wtedy do atmosfery marsowej, wie pan, bo ja myślę, że te brewerie, które on urządzał, to było wszystko pod wpływem trującego działania naszego powietrza, a może i zwiększonego ciężenia ziemskiego.

W tej chwili wszedł inżynier.

— Panowie, a, pan Mc Moor już jest, jakże się cieszę — przywitał się ze mną. — Moi panowie, jest ciężki orzech do zgryzienia, panie kolego — zwrócił się do Lindsaya — rzecz się ma tak: o ile się orientuję, maszyna porusza się energią atomową, którą uzyskuje z drobnej kruszyny uranu, zawartego w spodniej części stożka. Energia ta w postaci prądu zostaje zużyta na poruszanie, a specjalne aparaty pozwalają ją projektować na odległość jako działanie cieplne lub magnetyczne. Te aparaty dadzą się wymontować, jak myślę, ale sama promieniotwórczość to warunek życia maszyny. Jeżeli wyłączę ją, wyłączę tym samym wszystko. Inna rzecz, że będzie ona słabsza, gdyż wszystkie specjalne urządzenia do jej wzmacniania, kierowania i projektowania usuniemy. Profesor zamyślił się.

— Czy nie dałoby się tego puścić w ruch bez gruszki centralnej? Ja myślę, żeby puścić to stalowe serce...

— Będę próbował, nie wiem. Nie znam szczegółów konstrukcji, jest to diabelnie skomplikowana maszyna, zbudowana, nawiasem mówiąc, w sposób tak zdumiewający, po prostu nieludzki.

— No, ja myślę — uśmiechnął się profesor. — I jakże on wygląda, ten nieludzki sposób?

— Niech się pan nie śmieje, zasadniczo części są wymienne, ale dostać się do nich nie można. Mam tu najpiękniejszy komplet narzędzi, jaki sobie może wymarzyć technik, i ten mnie zawodzi. Zamiast śrub są tam nader dowcipne połączenia — wyjął z kieszeni dwa kawałki metalu. — Proszę, panie profesorze.

Były to dwa bolce, jakby ze stali. Inżynier zetknął je płaskimi końcami i przekręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

— Spróbuj je pan teraz odłączyć. Twarz staruszka poczerwieniała.

— A to co za czary!

Inżynier znowu przekręcił bolce w osi długiej i odłączył bez żadnego wysiłku.

— Jest to jakiś rodzaj przyciągania: w pozycji takiej — demonstrował — nie działają żadne siły. Jeżeli jednak przekręcimy je, ot tak, nie można ich rozerwać.

— Nie można palcami — zauważył Frazer — ale w imadle...

— Mam już taką parę, próbowałem — zauważył inżynier. — I wie pan co? Oto są: w maszynie na rozciąganie poddałem je ciągnięciu pięćdziesięciu tysięcy kilogramów i przerwały się, ale nie w miejscu zetknięcia, lecz przy główce. Jednorodny materiał pękł, a miejsce prostego styku wytrzymało! — Rzucił ułamki na stół. — To mi wynalazek. Nie trzeba żadnych śrub ani muter, jeden ruch i trzyma jak spojone.

— Jak pan sądzi, jaki jest mechanizm? — spytał Gedevani.

— To raczej pańska dziedzina... Ja myślę, że to jest jakby magnes, dwa magnesy, w tej pozycji przyciągają się... ale co tam — machnął ręką — tysiące takich drobnostek jest w tej piekielnej maszynie, nie wiadomo, od czego zacząć. Gdzie jest doktor?

— Mówił mi, że idzie do laboratorium — powiedziałem.

— Ach, tak, to ta gruszka centralna... To jest dopiero zagadka, bo te mechaniczne sztuki to jeszcze można ostatecznie zrozumieć...

— Proszę panów — powiedział profesor — obecnie podzielimy się na grupy. Panowie inżynierowie i doktor będą próbowali poznać elementy konstrukcji i działania maszyny i jej żywego organizmu, a my — zwrócił się do Frazera, Gedevaniego i mnie — zastanowimy się nad metodami porozumiewania z naszym gościem, o ile da się go, po unieszkodliwieniu, ożywić...

Kiedyśmy zasiedli wygodnie w fotelach, profesor spojrzął na nas trzech i powiedział:

— Moi panowie, wygląda tak, jakbyśmy już naszego przybysza z Marsa ujarzmili. Być może, że poddajecie się tego rodzaju złudzeniom. Ja jednak sądzę, że ta część zadania, która teraz przypadła nam w udziale, będzie trudniejsza od pierwszej, chociaż, być może, mniej niebezpieczna. Chodzi o to, że zawsze łatwiej jest niszczyć, niż budować. To jedno. A drugie, to sprawa wspólnego języka. Co pan o tym sądzi? — zwrócił się do mnie. Zdziwiłem się.

— Pochlebia mi to, panie profesorze, że pan się do mnie zwraca, ale nie sądzę, żebym był pierwszym...

— Bez frazesów, drogi panie, bez frazesów. Właśnie to, że pan jest nieuprzedzony i może nie tak objuczony balastem wiedzy jak my, ułatwi panu z pewnością wiele. Obserwowałem pana w różnych sytuacjach i widziałem, że oprócz świeżości sądu, która pana cechuje, posiada pan też bardzo, powiedziałbym, oryginalne myśli.

Ukloniłem się.

— Ja myślę, proszę panów, że trzeba by zacząć od języka geometrycznego, koła koncentryczne, jakieś proste równania, jak ów sławny Pitagoras, oto początek.

— Myślałem o tym — odezwał się Frazer — ale to jest właśnie początek. Co dalej?

— To zależy od jego reakcji. Po pierwsze, w jaki sposób on może nam dawać znać o sobie? Czy on w ogóle widzi w naszym rozumieniu tego słowa? Jakie części widma świetlnego są dla niego widoczne i jakie są jego reakcje, to jest sposób uzewnętrzniania procesów życiowych, które w nim zachodzą?

Profesor przecierał płatkami okulary, wsadził je na nos i patrzył na mnie długą chwilę. Przypomniałem sobie lata szkolne i skurczyłem się. Może palnąłem jakieś głupstwo?

— Widzę, że pana nie doceniałem — odezwał się staruszek. — Tak, tak, zaczynam się starzeć... Pan mi przypomniał to, co mówiłem wczoraj: słowa Newtona, prawda? Nie przerywaj pan, nie chodzi o intencję. Trzeba nam najpierw go poznać, zanim zechcemy poznać się z nim. To jest prawdziwe „Ding an sich” Kanta, oto sęk.

W tej chwili nad konsolą kominka zaświecił czerwony sygnał. Frazer przystąpił do niszy i zdjął słuchawkę telefonu.

— To doktor — zwrócił się do nas. — Wzywa nas do laboratorium. Może jakieś nowości, już schodzimy — dodał, zwracając się do słuchawki. Wstaliśmy wszyscy. Mr Gedevani wyjął z kieszeni szczoteczkę, oczyścił swoją marynarkę, spojrzął badawczo w lustro, które wisiało między szafami, i skierował się do drzwi. Poszliśmy za nim.

W laboratorium był tylko doktor. Na długim stole stało kilka aparatów, a tajemnicza czarna gruszka umocowana w statywie jak jakiś trujący, ale już nieszkodliwy owoc, połączona była, jak zauważyłem, z czułym galwanometrem.

— Ciekawa rzecz: on wydziela słabe prądy jak pobudzona, żywa plazma — zwrócił się doktor do nas. — Prądy podobne do tych, jakie daje pobudzony mózg ludzki. Trzeba będzie złożyć dobry i czuły aparat zapisujący. Być może, że to będzie droga do zrozumienia go:

proszę popatrzeć.

Doktor wziął do ręki małą latarkę elektryczną i zaświeciwszy ją, zbliżył do tej części gruszki, która posiadała podziurkowane przezroczyste okienko. W chwili, gdy padł na nie promień świetlny, strzałka galwanometru zakołysała się kilka razy dość silnie.

— Typowa reakcja fototropiczna — powiedział doktor.

Profesor wydawał się mało zachwycony.

— Ja myślę, że tą drogą trzeba długich żmudnych badań. Co pan chce zrobić?

— Będę eksponował przed okienkiem światło różnego natężenia, potem kolory, odcienie, wreszcie może rysunki jakies i badał reakcję.

— Elektryczną, naturalnie?

— No tak, chwilowo co innego jest niemożliwe. Panowie widzą: gruszka posiada na dole dwadzieścia siedem cienkich drucików, jakby kabli, które łączą się z odpowiednimi gniazdkami rozetki w maszynie. Badałem poszczególne odprowadzenia prądu z tych kabelków i szczególna rzecz: niektóre reagują tylko na światło, inne nie.

— Ile reaguje na światło? — spytałem.

— Zdaje się, że są trzy takie druciki.

Doktor połączył dwa inne druciki z galwanometrem i pokazał, że teraz światło nie daje żadnej reakcji. Zbliżyłem się i przyłożyłem rękę do gruszki. Galwanometr drgnął.

— Oho, być może, że to ciepło pańskiej ręki, więc byłyby to drogi rejestracji zmian termicznych? Spróbujemy inaczej.

Rozpoczął nowe doświadczenia. Z chaosu faktów zdawał się wyłaniać coraz jaśniejszy obraz: cieniutkie kabelki służyły do recepcji różnych zmian fizycznych otoczenia. Po kolei wykryliśmy receptory natężenia pola elektrycznego, jego częstości i zmienności, ale to było zaledwie kilka drucików. Przeważająca ich część pozostała zagadkowa. Przemienialiśmy bodźce chemiczne i ciepłe, magnetyczne i dźwiękowe — bez żadnego wyniku.

— Trudna sprawa — odezwał się wreszcie doktor. — Być może ta samoistna gruszka nie jest całością dla siebie? Myślałem, że zorganizowana plazma na Marsie poszła inną drogą niż na Ziemi: tutaj musiała sama sporządzić sobie w drodze ewolucji aparat ruchowy, pokarmowy, system pośredniczenia z otoczeniem, to jest organy czucia i układ nerwowy, a na Marsie było inaczej, znacznie prościej. Utworzyła się plazma myśląca, ale dosyć niedołączna, która przyspieszyła ewolucję przez to, że sporządziła sobie maszynę do poruszania się, widzenia, słyszenia i ochrony przed zniszczeniem. W takim razie badanie samej gruszki będzie mało wartościowe.

Profesor słuchał tych słów i kiwał głową.

— Tak, tak... to jest właśnie najbardziej nieludzka rzecz, jak się któryś z panów wczoraj wyraził, jaka może napotkać człowieka, w tym jej cudowna trudność... — Zwrócił się do doktora: — To nic, nie zrażać się, pracuj pan dalej. Pójdziemy teraz do naszych konstruktorów...

W wielkiej hali montażowej, którą ujrzałem po raz pierwszy, panował piekielny łoskot. Na długich szynach z prasowanego ebonitu poruszały się powoli, majestatycznie dwa olbrzymie słupy z porcelany, na których były umieszczone ogromne kule nikłowe. Pomiedzy nimi biegła w postaci jasnioletowej, grzmiącej i trzepoczącej taśmy błyskawica, która skakała, jakby usiłując się urwać z gigantycznego iskiernika. Echo gromów szło od szklanych stropów.

Betonowa podłoga dygotała pod nogami. W pierwszej chwili wydało mi się, że hala jest pusta, ale ujrzałem, że pomiędzy wózkami, na których zmontowane były słupy i kule iskiernika, stał przyrząd podobny do odwróconej wielkiej gruszki, zbudowany z matowego metalu, a przy nim mała postać w azbestowym skafandrze. Kiedy się odwróciła, ujrzałem za szybką ze szkła ołowianego błysk zębów. Był to inżynier Fink, który się do nas uśmiechał. Inżynier podniósł obie ręce do góry i skrzyżował je. Na ten znak iskra znikła i uszy moje nappełniło huczące dudnienie nagle powstałej ciszy. Inżynier zrzucił z głowy maskę i ocierał

spoczone czoło.

— Wszystko idzie dobrze — powiedział. — Próbuje wprawić maszynę w ruch bez pomocy energii atomowej, której nie umiemy jeszcze opanować, trzeba do tego dwu, trzech milionów wolt.

— Czy będzie pan nam mógł na wieczór przygotować choćby pobieżny szkic maszyny: jej zasad działania, poszczególne organy i co najważniejsze, myśl konstrukcyjną, którą ona wyraża, chociażby w zarysie?

Inżynier kiwnął głową.

— Dużo pan żąda, profesorze... Spróbuję, ale zaznaczam: proszę sobie nie robić wielkich nadziei. Najgorsze jest to, że maszyna ta jest tak diablo prosta, tak bardzo obywa się bez wszelkich oczywistych dla mnie urządzeń przemiany energii, że aż strach bierze... na przykład energia atomowa przechodzi wprost w elektryczną albo cieplną, proszę spojrzeć.

Poprowadził nas do zaciemnionego kąta hali. Stał tam inżynier Lindsay, który przymocował właśnie do wnętrza bezwładnego czarnego stożka Marsjanina dwa grube, opancerzone dzwonekami porcelany kable. Inżynier wepchnął nas do małej kamery z ołowiu, wskazał w milczeniu na przeziernik i wyszedł. Widziałem jeszcze, jak przystąpił do marmurowej tablicy rozdzielczej wiszącej na ścianie i pchnął długi hebel. Znowu ogłuszający łoskot sztucznej błyskawicy rozdarł powietrze. Fioletowe błyski rozjaśniały wszystkie zakamarki sali, upiorne światło błyskało na naszych twarzach. Spojrzałem na stożek — inżynier Lindsay stał przy nim, przymocował coś i nagle wsadził rękę, ubraną w wielką czerwoną rękawicę, do otworu wywierconego przez świder.

Zdaje mi się, że krzyknąłem. Beładnie leżące węzownice stożka zaczęły drgać, ruszać się, bić o ziemię jak w ataku wściekłości. Inżynier manipulował dalej. Teraz macki podniosły się powoli, drgając tylko końcami, i zawisły w powietrzu. Wreszcie jedna z nich przybliżyła się do zwisającej na linie ze stropu płyty stalowej. Zdziwiłem się, po co ta płyta tam wisi, ale rychło stało się to zrozumiałe. Tępy czarny koniec węzownicy zbliżył się do stalowego bloku. Być może było to złudzenie, ale zdawało mi się, że płyta w środku poczerwieniała. Nagle lina zadrgała, blok stali począł się poruszać jak wielkie wahadło i oto w jego centrum ukazał się otwór, przez który macka przeszła swobodnie na drugą stronę i cofnęła się. Lindsay podniósł lewą, wolną rękę — błyskawica urwała się z trzaskiem i zgasła — i macki upadły bezsilnie na ziemię, przerywając niezwykłą iluzję życia. Wyszliśmy z kabiny.

— Inżynier Lindsay wcale się nie mylił, prawda? — powiedział Fink, prowadząc nas do drzwi. — A to tylko jedna z wielu możliwości...

— Pan ciągle tylko o możliwościach technicznych — rzekł profesor.

— A o czym by innym? — Inżynier zdawał się nie rozumieć.

— A to, że pan... No tak, pan tak musi, ale i doktor także... Chodzi o sposób podejścia, zbliżał się, a to tylko oddala... Proszę bardzo — zakończył profesor — ja żadnych wskazówek udzielać się nie ośmielam, ale proszę: miej pan na oku przede wszystkim syntezę. Analiza jest także ważna, ale nie można się w jej szczegółach gubić. Czy nie prościej, gdyby on nas sam mógł o wszystkim objaśnić?

Inżynier śmiał się bezgłośnie.

— Nie na darmo nazywają pana u nas starym metafizykiem, proszę, nie gniewaj się pan, profesorze...

— Czy dlatego, że wierzę w Boga i inne dziwne rzeczy, które ciasnogłowym nie mogą się pomieścić w ich grządkach mózgowych? — zapytał cicho profesor. — Jeżeli tak, to jakże mogę się o to obrazić? Tak zrozumiana nazwa metafizyka mogłaby być tylko komplementem.

Uścisnął dłoń inżyniera i wyszedł z hali.

IV

I znowu siedzieliśmy w białym świetle matowych lamp, słuchając w napięciu słów inżyniera Finka. Rozpostarł on stopy swoich notatek na stoliku.

— A więc wyjaśniłem już system poruszający naszą maszynę, którego ideą jest bezpośrednie zużycie natężenia, to jest ciśnienia promieniowania na ruch obrotowy wałków poruszających. Zastanawialiśmy się, dlaczego tak powoli i na pozór niedołącznie się posuwa, dlaczego nie posiada aparatów chwytnych. Okazuje się, że nasze nieporęczne narzędzia zbudowane na wzór ręki daleko w tyle stoją za tym mechanizmem. Chodzi o to, że macki, czy też węzownice, mogą wydzielać z końców, które nazwałem emitarami, energię w różnej fazie, może być ciepła, albo inne określone pole energetyczne, na przykład magnetyczne, elektryczne. Jednym słowem: przez upodobnienie drgań własnych atomów do drgań substancji dotykanej może nastąpić przyciągnięcie i ufixowanie takie, jakiego nie uzyskaliśmy może nawet przy spojeniu śrubami. Tragiczny koniec White'a, który był na podwórzu w chwili wyrwania się Areanthropa z domu, a nad którym przeszliśmy milcząc do porządku, boć nie inny los mógł być i nam zgotowany, polegał na jego zupełnym rozpyleniu na atomy i to tłumaczy fakt, że zniknął on tak nagle i nie odnaleźliśmy żadnych szczątków. Jeżeli chodzi więc o przejawy energetyczne maszyny, to znamy je już choćby w zarysach, choć, zaznaczam, nie wszystkie. Chodzi tu o to, że nie mamy receptorów czuciowych ani aparatów fizycznych do rejestracji natężenia fal materii, a wydaje mi się, że właśnie falowanie materii jest podstawową dziedziną dla pewnych elementów konstrukcji aparatu. To strona jedna. Jeśli idzie o kontrolę świata zewnętrznego, o jego oddziaływanie na maszynę, to jest w pierwszym rzędzie na żywe jądro w gruszcze, mogę panom niestety powiedzieć bardzo mało, zdając się na doktora. Owszem, są aparaty przypominające jakby w uproszczeniu systemy światłoczułe, są też spojenia metali, jakby dla rejestrowania różnicy temperatur, napięć, ciśnień zewnętrznych, ale to tylko elementy. Wszystkie ich wypustki dośrodkowe dochodzą do rury centralnej, w której kończą się ślepo. Rura ta jest wypełniona pewnego rodzaju płynem, jakby cieczą... ale to właściwie nie jest ciecz — postawił na stole małą szklaną kolbę — tu jest próbka tej substancji. Nie mogę o niej powiedzieć nic poza tym, że jest to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa substancja organiczna... Jestem zresztą zbyt słabym chemikiem, by móc dokładnie określić jej skład. W każdym razie, zdumiewające działanie tej cieczy... ale proszę panów, żeby się przekonali sami. Żadne słowa nie są w stanie tego opisać.

Spojrzeliliśmy na siebie jakby z myślą: aha, już się cuda zaczynają.

Inżynier Fink powiedział:

— Śmiało, doktorze — i odkorkowawszy flaszkę, przyłożył mu ją do nosa. Doktor wetchnął ostrożnie powietrze, twarz mu drgnęła — i nagle wyrwał niemal flaszkę z rąk inżyniera, wdychając silnie i kurczowo gaz, który się z niej najwidoczniej wydzielał.

Twarz mu najpierw poczerwieniała, potem zbladła, opadł na krzesło i przymknął oczy.

— Inżynierze, co to jest?! — zawołał profesor. — Czy to nie jest trucizna?

Fink przystąpił do doktora, który bez oporu dał sobie wyjąć flaszkę z ręki, i podał ją mnie. Postanowiłem być nader ostrożnym i tylko troszkę powąchać tego dziwnego gazu.

Nie wiem, co się ze mną stało. Ujrzałem najpierw nieprawdopodobnie piękne, mgliste, powoli sunące kręgi. Potem szły duże i małe tony, tworzące przepiękną harmonię. To wszystko zlewało się w jeden strumień barwy, światła i woni, woni ani pachnącej, ani miłej — raczej przykrej, powiedziałbym teraz, gdy pisząc, przypominam ją sobie — ale przykrość ta była słodka aż do bólu. Było to uczucie silnego i straszliwie gwałtownego życia, dające rozkosz z każdego uderzenia serca, z ruchu mięśni, z oddechu, a wszystko to otoczone jakby jedwabnym woalem. Jednocześnie jednak widziałem doskonale, co się dzieje dookoła, czułem, że myślę tak jasno jak jeszcze nigdy, że widzę tak ostro i kolorowo, jakby przez

dziwny instrument optyczny — ktoś, zdaje się, inżynier, chciał mi zabrać flaszkę. Przycisnąłem ją kurczowo, jakby chcąc ją zatrzymać, ale uczułem lekki bezwład — puściłem ją...

Teraz nie dziwię się... nie dziwię się już niczemu. Widziałem, że doktor, skurczony, płakał. I mnie łzy napelniły oczy — było to tak straszne, ten powrót do siebie, do tego siebie, który przed chwilą był taki zadowolony, normalny, a teraz nieszczęśliwy, jakby wyrzucony z utraconego raju. Czułem, że jest to śmieszne, że jestem starym, głupim koniem, trzeźwym reporterem, a jednak spazm smutku ścisnął mi gardło.

Flaszka szła w koło, dając każdemu chwilę nadludzkiego szczęścia i ludzkiego, gorzkiego rozczarowania.

Profesor odmówił przyjęcia flaszki.

— To jest pewnie jakiś narkotyk — powiedział. — Jestem przeciwny zatrutowaniu się haszyszem czy opium.

— To nie jest to, profesorze, proszę wybaczyć, że wszedłem w paradę naszemu biologowi — Fink postawił na stole wyjęty z teczki słój.

Siedziały w nim dwie żaby: jedna malutka, chuda, i druga ponadnaturalnej wielkości, jakby rozdęta.

— I cóż to za cud z Marsa? — odezwał się z przekąsem doktor, nadrabiając miną. Było mu wstyd — a i nam wszystkim — tej fali smutku, jaka nas opanowała po odjęciu dziwnego płynu.

— A to, że obie żabki były rano kijankami. Tylko tej dużej dodałem do wody w akwarium jedną kroplę płynu... i to wszystko. — Inżynier mówił spokojnie dalej: — Powiedziałem sobie, że niczemu się nie będę dziwić, i za każdym razem słupię na nowo. Jak zaznaczyłem, wszystkie aparaty receptoryczne kończą się ślepo, dając do wnętrza rury z płynem wypustki podobne do elektrod. Takie same wypustki są na jej górnym końcu, gdzie tworzą gniazda dla rozety, w które wchodzi kabelki gruszki centralnej. Oto wszystko, co miałem do powiedzenia.

Profesor patrzył na nas surowo.

— Zdaje mi się, że Mr Gedevani tęskni z nas wszystkich najbardziej do tej cudownej flaszki? Otóż przypominam, że nie jesteśmy tutaj takimi sobie ludźmi, albo nawet uczonymi, ale delegacją ziemską dla przyjęcia i zapoznania się z przybyszem z Marsa. Czy mam mówić, jakie cechy winna mieć tego rodzaju delegacja i od jakich wad winna być wolna?

Spuściliśmy wszyscy głowy. Doprawdy, profesor był za ostry... on przecież nie poczuł strasznego i cudownego zarazem działania płynu...

Stary zdawał się czytać nasze myśli.

— A jeżeli to jest nawet woda życia, to pozwolę sobie przypomnieć, że taka nazywa się aqua vitae, okowita, i po skończeniu naszych badań każdy z panów będzie się mógł poświęcić studiowaniu jej przymiotów... nikomu tego nie będę bronił.

Stary był złośliwy, ale czułem, że ma rację.

— Profesorze — odezwałem się — nie ma tu niczyjej winy. Sądzę i wiem, że wszystko będzie dobrze, pozwalam sobie mówić w imieniu wszystkich panów. Bo chociaż nie jesteśmy żadnymi „badawczymi mózgami”, ale ludźmi, to właśnie dlatego, że jesteśmy ludźmi, będziemy postępowali tak, jak tego sytuacja wymaga.

— Spodziewałem się tego — zakończył sucho profesor. — Proszę na przyszłość powstrzymać się od podobnych demonstracji, panie inżynierze, a teraz proszę pana doktora o zdanie.

Inżynier przyznał mi się potem, że cała ta historia z demonstracją działania centralnego płynu Areanthropa miała na celu wykazanie profesorowi, że jest on takim samym „słabym człowiekiem” jak i my. Okazało się jednak, że pułapka była za prosto stawiana, staruszek wziął wprawdzie (jak się później dowiedziałem) flaszkę do swego gabinetu, ale z pewnością nie dla doznania chwilowej rozkoszy. Jestem pewien, że tak samo dałby się ukąsić

najohydniejszemu owadowi, gdyby mógł z tego wyciągnąć jakiś wniosek naukowy. Obawiał się on po prostu stracić panowanie nad sobą — a był za mądry, aby się wobec nas ośmieszyć.

Doktor, który przyszedł już do siebie po zadziwiającym doświadczeniu (w ogóle działanie przechodziło bardzo szybko), wstał i położył przed sobą stos świstków papieru różnej wielkości i formatu. Miał on zwyczaj zapisywania wyników pracy na mankietach, strzępach podartych gazet, brudnych bibułek, starych rachunkach, nie używając najwspanialszych bloków z welinowego papieru, jakie były wszędzie w laboratoriach. Zwierzał mi się, że biel i pustka papieru powoduje rozwodnienie treści mózgowicy, powodując pustkę myślową.

— Proszę panów, nie mogę niestety niczym zadziwić, ani też nie wykonam żadnego cudownego pokazu — był najwidoczniej zły na Finka za jego eksperyment. — Sytuacja moja jest o wiele poważniejsza niż mego przedmówcy, i to z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że tajemnice daleko łatwiej wydrzeć substancji martwej niż żywej, a po drugie, ponieważ maszyna znajduje się od tygodnia z górą w stanie nieprzyjmowania żadnych substancji z zewnątrz oprócz trującego, a co najmniej szkodliwego dla jej części żywej naszego powietrza. Może wyda się przesadą takie antropomorfizowanie z mojej strony, ale jeżeli to jest substancja żywa, a mam wszelkie dane i prawa po temu, aby tak sądzić, to musi ona dla podtrzymania podstawowej przemiany materii uzupełniać swoje straty przez przyjmowanie składników chemicznych z zewnątrz. To jest jedyna możliwość.

— Pan doktor się myli — przerwał Gedevani. — Jest druga możliwość, a to tak: może być, że energia dla życia dostaje też żywa maszyna od zewnątrz bez chemiczne, jak to się mówi, związki. Że na przykład promieniowanie albo fale wydzielane przez neutrony bezpośrednio oddają swoją energię kinetyczną atomom od ta żywa istota...

Doktor pochylił głowę.

— Zdaje mi się, że pan ma rację. Być może, że takie „odżywianie energią” jest możliwe, w każdym razie o godzinie pół do jedenastej plazma zaczęła zdradzać niepokojące objawy jakby zamierania, których pierwszym zwiastunem było pewnego rodzaju, że tak powiem, zwiotczenie prądów funkcjonalnych...

— Skończ pan, proszę, z tym krasomówstwem. Czy coś jeszcze z tego zostało? — profesor, zły, patrzył znad okularów na doktora. Ten wyglądał tak, jakby się chciał obrazić.

— Nie skończyłem jeszcze. Ja moich rezultatów pracy nie dozywam tak lekko przez rozśrubowanie poszczególnych kółeczek.

— A to co znowu? Zdaje się, że pan się chce kłócić?! Profesor był czerwony jak piwonია.

Doktor pohamował się.

— Być może, że to działa ten płyn diabelski... w każdym razie miałem pół godziny porządnego strachu, gdyż pulsacje świetlne opadły niemal do zera, prądy także okropnie osłabły, dawałem tlen, dwutlenek z bardzo słabym działaniem, o godzinie 11.55 było już po prostu stadium konania, więc, zrozpaczony, wziąłem i... zatrzymałem się.

— No i co pan zrobił, do licha!

— Wstrzyknąłem przez otwór w gruszcze 0,001 adrenaliny, wynik był fenomenalny. Wszystkie zjawiska powróciły do normy i gdy odszedłem przed kwadransem...

Profesor wstał.

— Ależ to mogła być chwilowa remisja, od chwili odłączenia gruszki od stożka minęło dwanaście godzin. Jeżeli plazma jest delikatna i nie otrzymuje koniecznej dla niej energii...

— Szybko, panowie! Do laboratorium! Panie Fink, flaszki z tym płynem, szybko.

Pobiegliśmy do drzwi jak uczniowie popędzani silnym głosem.

— Ostrożnie, moja marynarka — był to Gedevani. Sapał koło mnie i w ogóle wydawał się być w okropnym humorze. — Ja wiedziałem, że to się tak prosto nie skończy, że ono zrobi jeszcze jednego figla.

— Jakie ono?

— No, ten człowiek z Marsa.

W laboratorium było cicho. Pierwszy podbiegłem do gałwanometru, spojrzałem w szkliste okienko — było ciemno.

— Psiakrew, panie doktorze, tego bym się po panu nie spodziewał... Zniszczone, zdaje się, że nie żyje... My tam siedzimy jak idioci i gładzimy, a tu plazma kona. On kona, kona, czy pan to rozumie? A pan się wyklóca z inżynierem o swoje ambicjki.

Doktor, wydawało się, chciał się zapaść pod ziemię.

— Ja... słowo daję, gdy odchodziłem, stan był świetny, nie spodziewałem się, przecież całą noc tu siedziałem i...

— Cicho! Inżynierze, płynu!

Profesor Widdletton był, jak to się mówi, w swoim sosie. Poruszał się błyskawicznie — wyrwał doktorowi strzykawkę, napełnił kilkoma kroplami zagadkowej cieczy i wsunął igłę w otwór pancerza. Mijały sekundy — tłoczek szpryki dosięgał dna — wstrzymaliśmy oddechy.

Nagle w okienku ujrzałem słaby błysk — jednocześnie strzałka gałwanometru przechyliła się. Drugi błysk — po wnętrzu bańki rozeszło się słabe świetlne pulsowanie.

— Chwała Bogu — profesor promieniał. — Nie ma co, trzeba go będzie zacząć składać — ogarnął nas spojrzeniem. — Widzę panowie, że chcecie mi tu urządzić prawdziwą miniaturę świata naukowego: ilu uczonych, tyle poglądów, teoryjek i tak dalej, zabawa idzie, a Areanthropos sobie tymczasem zdycha. To się musi skończyć, powiadam. Takie akademickie dyskusje i referaty na pół dnia muszą ustać, tu trzeba działać. Panie inżynierze, proszę razem z doktorem składać maszynę, żeby otrzymała swoją konieczną dla życia energię, rozmawiać będziemy mogli potem.

— Tak, żeby on znowu zaczął szaleć — odezwał się Gedevani.

— A czy pan tu przyjechał na wczasy? — Z profesorem nie można było żartować.

— Panie profesorze — odważyłem się — tu nie chodzi o niebezpieczeństwo, ale o celowość działania. Czy inżynier rzeczywiście może zaręczyć, że opanuje promieniowanie, to znaczy, że może je w każdej chwili wyłączyć?

— Myślę, że tak, chyba że maszyna przestanie być maszyną — dodał Fink po chwili namysłu.

— Cóż to ma znaczyć?

— To znaczy, że jeżeli on myśli i, jak sędzę, a mam prawo tak sądzić, plazma jest konstruktorem całej maszyny, to potrafi po zorientowaniu się w tym, co zaszło, a będąc we władaniu swoim aparatem, zrekonstruować przyrządy do przemiany atomowej, a wtedy nie odpowiadam za nic.

— Czy to znaczy, że umywa pan ręce? — spytał powoli profesor.

— Nie. To znaczy, że nie daję żadnej gwarancji, ale natychmiast rozpoczynam montaż.

— To rozumiem, a więc proszę bardzo, niech pan robi swoje.

Inżynier z pomocą doktora wymontował gruszkę ze statywu, wziął ją ostrożnie w ręce i wyszedł. Staliśmy jeszcze chwilę w laboratorium.

— Co będziemy robić, profesorze? — spytałem.

— Wsadzimy go do kamery z atmosferą marsową i spróbujemy dać do zrozumienia, że nie jesteśmy do niego wrogo nastawieni, to znaczy trzeba będzie działać na niego już nie pociskami, ale myślą — profesor mówił powoli, widocznie sam się zastanawiał.

— Czy nie powracamy do punktu wyjścia? — spytałem. — Wiadomości, jakie mamy o konstrukcji, są nader mgliste, nie mówiąc wręcz o samej plazmie, o tym mózgu centralnym...

— Mózg? Doskonałe określenie — profesor wydawał się zachwycony. — Mam myśl — zawołał i wybiegł z laboratorium. Frazer poszedł za nim.

Mały pan Gedevani został ze mną. Ocierał czoło chusteczką, potem oglądnął się i powiedział:

— Ja czułem, że to się źle skończy. Cztery lata stałem przy cyklotron z trzy miliony wolt, ale to była zabawa. Co tu się wyrabia, co tu się wyrabia! — i z tymi słowami rozpaczy

odszedł.

Poszedłem na górę, zastanawiając się nad tym, co powiedział profesor. Czy znalazł wreszcie klucz do porozumienia się z Marsjaninem? Nie mogłem w to uwierzyć. W małej montażowni, do której zaglądnąłem, stał Lindsay z profesorem. Ten ostatni ustawiał szybko jakieś aparaty, wśród których rozpoznałem wielki wzmacniacz dynatronowy i stopnie wzmocnienia wysokiej częstotliwości.

Na środku sali stało wielkie krzesło, jakby fotel elektryczny — takie było moje pierwsze wrażenie, gdyż na szczycie oparcia posiadał on rodzaj czepca z miedzi, do którego dochodziły kable.

— Włącz pan szybko nasze akumulatory — powiedział profesor — i damy oscylator katodowy tutaj, na podest. Niech pan zadzwoni na Burke'a, to panu pomoże. — I zwracając się do mnie: — Wie pan, co myślę? Jest to fantastyczny projekt, ale cóż nam pomoże, jeśli nie fantazja? Otóż chcę chwycić prądy elektryczne, jakie wytwarza kora mózgowa jednego z nas, wzmocnić je parę milionów razy i posłać do okładek rury rentgenowskiej; zależnie od zmian natężenia prądów, siła promieni X będzie się zmieniać. Tym regulowanym według prądów naszego mózgu promieniowaniem będę naświetlał Areanthropa.

Wszedł Burke. Montował z inżynierem poszczególne części aparatury. Profesor kazał mi usiąść na krzesło, założył na głowę miedziany czepiec i włączył kilka kontaktów.

Rozległo się niskie huczenie. Profesor krzątał się przy aparatach, nie przestając mówić.

— Czy rozumie pan, o co mi chodzi? Mowa nasza, nasze gesty itd. są niezrozumiałe dla przybysza z Marsa. Ale być może, że w samym centrum w mózgu procesy psychiczne mają przebieg zbliżony. Zamierzam zatem ominąć drogi pośrednie i działać prądami naszych mózgow na jego mózg.

Tymczasem lampy wzmacniacza rozjarzyły się bladą różową światłem. Huczenie spotęgowało się. Uczułem, że ktoś ściąga mi na głowie metalowy kask rzemieniem.

— Proszę się nie denerwować, siedzieć spokojnie — dobiegł mnie głos profesora. — To nic nie jest, patrz pan na ekran.

Wielka, podobna do szklanego walca z rozszerzoną stożkowato podstawą rura oscylatora katodowego leżała na dwu ebonitowych stojakach. Ujrzałem, jak na jej spodzie, na bladożółtawej powierzchni fluoryzującej ukazały się wolno drgające linie świetlne.

— To są prądy pańskiego mózgu, proszę, niech pan pomnoży w myśli trzydzieści razy osiemnaście?

Zygzaki świetlne na ekranie wiły się teraz ogromnie szybko.

— W porządku, aparat działa doskonale. Huczenie ustało nagle, uczułem, że inżynier rozluźnił rzemienie i zdjął mi czepiec z głowy.

— Niech pan łaskawie zejdzie na dół, a my podamy przez szyb wentylacyjny kabel do oscylografu, pan go tam przyjmie z otworu wypustowego i zaczeka, aż ja przyjdę, to zmontujemy rentgena — powiedział Lindsay.

Zbiegłem po schodach na parter. W wielkiej hali montażowej huczał jakiś silnik elektryczny, mały kran podnosił właśnie bezwładne cielsko maszyny z jej łoża i przesuwał na środek hali. Inżynier szedł dołem i dawał znaki doktorowi, który poruszał korbą regulatora. Odnalazłem szyb wentylacyjny i po chwili zobaczyłem, jak z jego wnętrza wysuwa się czarny koniec kabla. Pociągnąłem go lekko i czekałem. Za chwilę zjawił się Lindsay, który niósł wielką pancerną rurę rentgena, zamontował kabel na ściennym izolatorze i począł ustawiać potrzebne przyrządy.

— Pociski gazowe w pogotowiu — powiedział i zwracając się do Gedevaniego, który stał na uboczu: — Niech pan nie myśli, że mi już życie niemiłe... A teraz tak: puścimy mu prąd z generatorów na dziesięć sekund. Jeżeli nie, znowu prąd na dziesięć sekund i powtarzamy to tak długo, aż drgnie. Wtedy wyłączamy prąd, który go ożywia, i poddajemy jego mózg czy też receptor, najlepiej będzie naświetlać wszystko razem, działaniu rentgena. Na gorze będzie

siedział jeden z nas i myślał powoli, spokojnie, ale nie słowami, bo to niczego nie da, a obrazami: a schemat tych myśli, to jest jakie obrazy trzeba wywoływać w wyobraźni, już naszkicowałem. Potem puścimy mu znowu prąd ożywiający, stwierdzimy, czy jakoś na to zareaguje, i tak powtarzamy aż do skutku.

— To znaczy jak długo?

— Aż do jutra, jeżeli będzie trzeba — odpalił profesor Gedevaniemu, a ja spojrzałem na zegarek: była siódma wieczór.

— Mc Moor, pan jest człowiekiem spokojnym, zdrowo myślącym — profesor spojrzał ostro na Włocha, ale ten nie chciał się wcale obrazić. — Pójdzie pan na górę, na karteczce na moim biurku znajdzie pan schemat, według którego ma pan myśleć. Ale robić to powoli, każdy obraz co najmniej dwadzieścia sekund, zaczyna pan z chwilą sygnału czerwonego, na zielony przestaje pan. Jeżeli się uda, będzie pan pierwszym człowiekiem na świecie, który porozumiał się z mieszkańcem Marsa. Szczęść Boże nam i panu. Szkoda, że jednego inżyniera diabli nam wzięli, a potrzeba, no nic, Frazer jest przecież też dobrym fizykiem. Panie Frazer, pan pójdzie z Mc Moorem i załączy wszystko co trzeba do zapisywania i sprzedawania prądów mózgowych przez wzmacniacz. Siedź pan ze słuchawką przy uszach. Jeżeli zadzwonię, to pan będzie według wskazówek wzmacniał lub osłabiał prąd nadawany tu na dole.

Skończywszy, profesor zwrócił się do Lindsaya. Poszedłem z Frazerem na górę. W małym pokoju montażowym usiadłem na fotelu. Frazer nałożył mi na głowę kołpak metalowy i dał do ręki kartkę. Było na niej napisanych kilka zdań i dołączona paczka ponumerowanych fotografii.

Najpierw miałem pilnie obserwować mapkę Marsa — czynne patrzenie, a nie gapienie się jak na malowane wrota — napisał profesor pod fotografią swoim straszliwie nieczytelnym pismem. Potem na fotografię Ziemi. Dalej — na mapkę Ameryki, potem okolicy, gdzie znajdowaliśmy się, i „miałem przeżywać dodatnie uczucia, bez lęku czy nienawiści”.

Dobry sobie ten staruszek, już byłem nieco zirytowany tymi rozkazami pod adresem mojej maszyny do myślenia. Co on myślał, że to jest jakiś zegarek, czy jak? Następna fotografia przedstawiała nas wszystkich (oprócz mnie) zebranych na platformie przy teleskopie. Tu znowu trzeba było pomyśleć o Marsie, ale obrazowo, nie słowami — napisał na marginesie profesor. Wreszcie były fotografie pocisku, zdjęcia okolicy, w której spadł, i samego Marsjanina, przy których intensywnym wyobrażeniu sobie powinienem, wedle notatek profesora, znajdować się w dobrym humorze i przyjaznym nastroju dla naszego gościa. Przyznaję, że pierwszą moją myślą, po zaznajomieniu się z tym eluku — bratem, było, ażeby szlag trafił tego zwariowanego mechanicznego stwora, który zabił już kilku ludzi — ale opanowałem się. Nagle rozległ się brzęczyk telefonu — dzwonił profesor. Donosił na górę, że zaczynają pobudzać Areanthropa prądem trzech milionów wolt i przygotowują nas, byśmy byli gotowi do włączenia na sygnał momentalnie. Wyprostowałem się w fotelu i czekałem. Po chwili uczulem delikatne drżenie podłogi.

— Elektryzują naszego Marsjanina — odezwał się Frazer. — Elektryzują!

Dobre wyrażenie: trzy miliony wolt — dreszczyk mnie przeszedł — hopla — mam być w dobrym nastroju. Zacząłem myśleć o Szkocji, o zalesionych górach, o dobrych dawnych czasach, o milionowych nakładach gazet z sensacyjnym reportażem.

Myśli przerwał mi brzęczyk.

— Co? Co? Jak? — krzyczał w słuchawkę Frazer. — Głośniej! Nic nie słychać!

Nawet ja słyszałem z odległości kilku kroków, że słuchawka aż chroboce od huku — i nic dziwnego: wszystkie generatory wysokiej mocy pracowały pełną parą, żeby dać potrzebne miliony woltów.

Frazer rzucił słuchawkę.

— Za trzecim włączeniem prądu drgnął, ruszył się. Profesor kazał powiedzieć, żeby się

pan przygotował.

Tymczasem Fink opuścił Marsjanina na ziemię, ustawił na postumencie w pozycji normalnej i zajęty był teraz wkładaniem poszczególnych kabelków gruszki z plazmą do ich gniazdek. Kiedy to skończył, zakrył wierzchni otwór kołpakiem i próbował poruszyć serce — czy też żyroskop — przez wywiercony przez nas otwór.

— Panie inżynierze, ostrożnie! — zawołałem.

— Nie bój się pan, przecież on nie ma aparatu do przemiany energii atomowej, a jak długo nie włączymy mu z naszej sieci trzech milionów wolt, jest taki bezpieczny jak pień.

Wsadził rękę do otworu i począł nią ruszać. Usłyszałem jedno i drugie znane mi mlaśnięcie, jakby wentyla, nagle inżynier jęknął, zbladł i osunął się drgając na podłogę.

— Ażeby cię cholera! — byłem wściekły. Rzuciłem się ku niemu, chciałem pociągnąć go na bok, ale poczułem straszliwe uderzenie w rękę. Zatoczyłem się na ścianę. Już biegł Lindsay w czerwonych gumowych rękawicach i odciągnął nieprzytomnego Finka na bok. Wzięłem go na ręce, choć nogi mi drżały, a palce prawej ręki piekły jak ogień, i złożyłem na stole. Doktor, nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni futerał, zrobił wprawnie i szybko zastrzyk, posłuchał pulsu, potem policzył wzrokiem ampułki, popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: a widzisz? — i zaczął masować inżynierowi okolice serca.

Tymczasem wewnętrzny telefon dzwonił tak, jakby się chciał urwać ze ściany, ale w rozgardiaszu wszyscy o nim zapomnieli. Teraz dopiero przystąpił doń Lindsay i zdał profesorowi sprawę z tego, co się stało.

— Może lepiej zaniosę go na górę? — spytałem doktora, wskazując oczyma na Finka. — Jeżeli tu się co stanie, to on, jako bezsilny, może najłatwiej ucierpieć.

Doktor skinął głową. Wzięłem Finka na ręce i zaniósłem do mojej sypialni. Po drodze spotkałem biegnącego profesora. Nic nie powiedział, tylko popatrzył na mnie, aż mnie ciarki przeszły, i wskoczył do windy.

Siedziałem może pięć minut przy Finku, ale widząc, że oddycha równomiernie, pomyślałem, że moje miejsce jest na dole, i wyszedłem, okrywszy go dobrze kołdrami.

W montażowni gospodarował na dobre Widdletton.

Te ciągle uprzedzenia poczęły mnie denerwować. Żeby zakonserwować dobry humor, zacząłem sobie po cichu mówić znany angielski wierszyk: „Mary miała baranka, białego jak śnieg, gdy Mary gdzieś poszła, on wciąż za nią biegł” — a jak się skończył, zacząłem sylabizować go od końca, gdy wtem rozległ się ostry, potrójny brzęczyk i czerwona lampa zapaliła się przed moją twarzą.

— Uwaga — rozległ się silny głos Frazera. — Mc Moor, myśl pan powoli i spokojnie, włączam prąd!

— Co on! — odpowiedziałem i rozległo się niskie huczenie. Począłem dłużyć w gęstwinie pamięci, intensywnie wpatrywać się w zdjęcia reflektorowe Marsa, przypominałem sobie jego kanały, pustynie; ile mogłem, dłużyłem w gęstwinie pamięci. Za plecami rozległ się brzęczyk — nie zwracałem nań uwagi. Po kolei przeglądałem fotografie, chwilami zamykałem oczy, wyobrażałem je sobie dokładnie, to znowu oglądałem kilka naraz — przechodziłem je stopniowo — wreszcie przejrzałem ostatnią. Teraz miałem wpaść w doskonały, przyjazny, dyplomatyczny nastrój. Wyobraziłem sobie Ziemię, z wielką Ameryką na froncie, zjednaną szeroką taśmą z Marsem, a na tej taśmie było napisane... Stop! nie wolno myśleć słowami.

W tej chwili czerwone światło zgasło, Frazer wyłączył wzmacniacz i skoczył do telefonu. Ponieważ zdawał się nie pamiętać o mnie, na własną rękę uwolniłem się od czepca i spojrzełem na niego. Trzymał słuchawkę przy uchu i czekał.

Sekundy mijały powoli.

— No, co tam? — spytałem. Frazer kiwnął przecząco głową. Wstałem z fotela. Frazer nacisnął kilka razy widełki, zawołał:

— Halo! Halo! — i czekał znowu. Nie mogłem wytrzymać.

— Ja lecę na dół, Bóg wie, co tam się stało! — I nim zdążył otworzyć usta, już mnie w pokoju nie było. Nie mogłem siedzieć spokojnie w windzie — przeskakując po cztery stopnie naraz, zbiegłem na parter. Kiedy dobiegłem do montażowej, ogarnęła mnie fala huku motorów. Otworzyłem drzwi, spojrzałem — i zamarłem w bezruchu.

W fioletowym świetle sztucznej błyskawicy ujrzałem, że czarny krępy stożek... żył. Poruszał się powoli, chwiejąc na miejscu, a jego macki wykonywały spokojne, nie drgające ruchy, jakby coś zaklinały lub też opisywały skomplikowane krzywe. Powietrze pełne było piekielnego huku i trzasku.

Grupka mężczyzn stała przy tablicy rozdzielczej: wysoki Lindsay z oblaną potem twarzą, w skórzanym fartuchu, trzymał dłoń na heblu wyłącznika. Koło niego stał profesor, a za nim, trochę z tyłu, Gedevani. Zamknąłem drzwi. Nie wiem, czy Marsjanin mnie zauważył — w każdym razie wysunął macki na boki i trzymał je krótką chwilę poziomo. Potem nagle zbliżył dwie z nich do siebie i ujrzałem przeskakujące między końcami iskry. Potem macki znowu rozeszły się bokiem, trochę w górę, i zakotłowały w powietrzu, opisując jakby poboczną walca. Czyżby on chciał coś w ten sposób wyrazić? Marsjanin powtarzał ruchy niezmiennie, tak samo jak maszyna. Przecież to jest właśnie maszyna — przemknęło mi przez głowę.

Opuszczał macki, potem wznosił je i zataczał poziomo kręgi, chwilami tak szybko, że widziało się tylko dwa niewyraźne walce. Profesor odłączył się nagle od grupy stojących ludzi i wyszedł bocznymi drzwiami. Stałem jak przykuty do podłogi, patrząc rozwartymi oczyma. Marsjanin wciąż powtarzał swoje ruchy, coraz szybciej. Znowu złączył dwa odnóża, rozsunął i przepuścił przez przerwę między nimi rząd grzechocących słabo iskier.

W tym momencie zjawił się profesor. Mały, ciemny, zgarbiony, szedł szybkim krokiem, niosąc coś w wyciągniętych rękach. Niósł to prosto na środek sali — czyż chciał zginać śmiercią samobójczą!? Skoczyłem naprzód, aby go powstrzymać. Ale on schylił się i potoczył po podłodze dwa metalowe cylindry. Jeden z nich podskakiwał, tocząc się: poznałem je, były to walce z pocisku.

Widziałem je wczoraj; jeden zawierał proszek już „zapisany”, w drugim był zarazem mechanizm do uwieczniania myśli.

Profesor stał teraz wyprostowany o pięć kroków od małego czarnego monstrum. Macki przestały krążyć, pochylily się i oba cylindry przywarły do nich, jakby nagle przyciągnięte. Stożek znieruchomiał — teraz macki podniosły się i w górnej części kołpaka spadła klapka — a może zrobił się otwór w jednolitym metalu — nie wiem, ale oba wałki znikły nagle, tak szybko, że mrugnąłem kilka razy powiekami. Nie trwało to nawet sekundy, bo już były z powrotem na zewnątrz i toczyły się opuszczone ostrożnie na podłogę w stronę profesora. Wyglądało to wprost śmiesznie: grupka ludzi stłoczonych przy ścianie i ten metalowy pękaty stożek, który wydawał się bawić w kręgle.

Na znak profesora Lindsay wyłączył prąd. Zaszumiało mi teraz w głowie od nagłej ciszy. Profesor chciwie chwycił oba wałki, podbiegł do stołu, na którym leżały arkusze papieru, i począł rozkręcać pierwszy cylinder. Miałki metaliczny proszek wysypał się na papier — kilka ruchów wałkiem — ujrzałem na białej płaszczyźnie wyraźną mapę Marsa i obok — Ziemi, połączonych szeroką taśmą. Otworzyłem szeroko usta:

— Ależ, ależ ja to myślałem! — wybuchnąłem wreszcie. Nikt się nie odzywał — pod rysunkiem proszek zgrupował się w kilka małych znaczków podobnych do nut. Profesor otwierał już drugi cylinder, wysypał zawartość na inny arkusz — oczy wychodziły nam po prostu z orbit.

Na białym tle ukazał się trójkąt z trzema wysokościami, równoboczny trójkąt otoczony wiankiem jakichś tajemniczych znaków — wyglądały jak cyfry raczej niż litery — obok zaś widniały niewyraźne kontury. Spojrzałem bystro. Ależ tak, to było nasze laboratorium, naszkicowane bardzo dziwnym sposobem, bez perspektywy przestrzennej, całkiem płasko, jakby w rzucie geometrycznym: w środku — dwa słupy i kule iskiernika, ale delikatny zygzak

oznaczający iskrę był przekreślony prostopadłymi przecinkami.

— Czy to ma oznaczać, że on nie życzy sobie, byśmy go łaskotali prądem? — przerwał pierwszy ciszę inżynier, wpatrując się w rysunek.

— Mnie się zdaje, że on żąda zwrotu swojej aparatury do przemiany energii atomowej, i dodam, że jest ogromnie grzeczny, bo ja nie wiem, czy na jego miejscu, po takiej wiwisekcji, zachowałbym się spokojnie... mając jego możliwości. — Profesor po prostu promieniał. Każda zmarszczka jego od trzech dni nie golonej twarzy tryskała zadowoleniem, nawet światełka w okularach zdawały się mrugać wesoło i uśmiechać. Klepał nas po plecach, popychał, ustawił stojak przygotowanego aparatu fotograficznego i zrobił kilka zdjęć rysunków, po czym ostrożnie wsypał proszek do rurek. Oddychaliśmy głęboko, jakby po długim biegu.

— Ja myślę, że na dzisiaj będzie dosyć — powiedział profesor. — Już jest jedenasta, a nie spaliśmy przeszło dwie noce.

— Dobrze, a co z nim zrobimy? To rzecz bardzo ważna, w nawale zdarzeń zapomnieliśmy o tym. Fink twierdził, iż maszyna bez prądu jest nieszkodliwa, a przecież został porażony...

— Rzeczywiście, co zrobimy z Areanthropem? — powiedział profesor. — Paskudna sprawa, to nie jest świnka laboratoryjna.

— Pan myśli, że on się obrazi, jeśli go wsadzimy na noc do kamery stalowej? — spytał sceptycznie doktor.

— Pan by się obraził na pewno — odpowiedział profesor. — No, początek zrobiony, w każdym razie on już wie, że nie jesteśmy zupełnymi dzikusami, więc, w imię Boże, niech siedzi tutaj.

— Ja bym wyjął centralną gruszkę — powiedział doktor, a ostrożny Mr Gedevani poparł silnie ten projekt.

— Aha, żeby pan miał spokojne sny, co? — odparł złośliwie staruszek. — Nic z tego, mój panie, chyba że będzie pan siedział tu całą noc i gapił się do okienka, czy jest normalna pulsacja życiowa, bo w razie zapadu trzeba by zrobić zastrzyk i włożyć do stożka z powrotem.

— Przepraszam — wmieszałem się — ale jeżeli prądu nie ma, to on i tak nie pobiera energii odżywczej, bo jego własną atomową aparaturę energetyczną w całości wymontował inżynier Fink.

— Aha, wymontował, no to jak wymontował, to czemu go tu nie ma, tylko leży na górze wywrócony na podszewkę, co? — spytał ironicznie profesor. — Co pan wie, co on wymontował, a czego nie. Pewne jest, że ten zagadkowy dla nas płyn jest mu ogromnie potrzebny, może niezbędny, więc niech sobie w nim siedzi i nóżki moczy, a my pójdziemy lulać. — To mówiąc, podszedł do marmurowej tablicy rozdzielczej i zaczął po kolei wyłączać lampy łukowe.

— Ależ on może nagle, w nocy... — zajęczał Mr Gedevani.

— To niech mu pan krzyknie do ucha, żeby był grzeczny — powiedział nieubłagany profesor i gasił lampy dalej. Nie pozostało więc nic innego, jak opuścić salę. Kiedyśmy się skupili przy windzie, profesor powiedział:

— Panowie, należy się nam kolacja, prawda?

95

— Prawda — przytaknęliśmy chórem.

— No to zaraz urządzimy lukullusową ucztę, tylko wpadnę na chwilę do biednego Finka. I proszę zawołać Frazera. Burke niech przygotowuje wszystko w jadalnym.

Winda stanęła, wyszliśmy na korytarz. W swoim pokoju spał inżynier Fink gorączkowym, niespokojnym snem. Doktor zbadał mu puls, zrobił uspokajający zastrzyk i kazał wszystkim wyjść.

W jadalni paliły się świece — był to pomysł profesora. Ich pomarańczowożółty łagodny

migotliwy blask ogromnie uspokajał nerwy.

Do stołu podawał Burke — zresztą wszystkie potrawy były z puszek, przygrzane na kuchni elektrycznej, więc nie odczuliśmy braku kucharza. Po kolacji profesor zaczął toczyć swoje kulki chlebowe po stole i powiedział:

— Panowie, wreszcie posunęliśmy się krok naprzód. Być może, że Marsjanin na nasze rentgenowskie depesze zareagował podobnym promieniowaniem. Woląłem tego nie zapisywać, choć mogłem ustawić w sali parę czułych liczników Geigera z automatycznymi rejestratorami, bo zapis byłby i tak dla nas niezrozumiały: przecież my nie umiemy odczytać treści własnego elektroencefalogramu, więc co dopiero mówić o języku prądowym z Marsa. Próba się udała, będziemy mogli porozumiewać się obrazami, postaramy się nauczyć go jakichś znaków, może alfabetu rysunkowego, albo może on nas czegoś nowego nauczy dla ułatwienia kontaktu. W każdym razie mam nadzieję, że najgorsze tarapaty już się skończyły. Niech się pan nie uśmiecha, panie doktorze, tak chytrze i ironicznie, utinam bonus vates sim. Czy panowie mają może jakieś propozycje?

— Ja myślę — powiedziałem — że jasne jest jedno: jego substancja żywa jest zbliżona, jeżeli chodzi o działanie, a nie o budowę, do naszego mózgu. Widocznie jest on tak zbudowany, że przyjmuje tylko, że tak powiem, treść istotną, źródłową zjawisk, a nie ich uboczne, zewnętrzne oznaki, więc głos, światło nie są dlań tak ważne, jak zmiany energetyczne, jak promieniowanie, różnice natężenia prądów. Z drugiej strony liczba obrazów, jakie można mu w ten sposób przekazać, jest dosyć ograniczona. Można przekazać tylko obrazy, pojęcia konkretne i nie wydaje mi się, żeby te wszystkie dobre, kochane nastroje, o których profesor pisał...

V

Nocy tej spałem snem ołowianym. Pamiętam niewyraźnie, jak rzuciłem się na sofkę, gdyż w łóżku jęczał cicho inżynier Fink, i pogrążyłem się we śnie jak w czarnej otchłani. Zbudził mnie potężny huk. Zeskoczyłem, pijany snem, z kanapy i rzuciłem się do okna. Było cicho — tylko nad stawem unosił się lekki obłok mgły porannej. Czyżby ten huk śnił mi się tylko? Było to możliwe. Ubrałem się szybko i spojrzawszy pobieżnie na śpiącego jeszcze Finka, wybiegłem na korytarz. Był cichy i pusty. Uczułem teraz, że podłoga lekko dygoce — jak to, generatory pracują? Poczulem żal do towarzyszy, którzy nie obudzili mnie w porę, ale sami na własną rękę rozpoczęli pracę. Winda, jak się okazało, nie funkcjonowała: widocznie używano całego napięcia sieci. Zbiegłem tedy dwa piętra na parter, nieco zaniepokojony, słysząc i czując pod stopami potężniejące wibrowanie murów i powietrza. W wielkiej hali montażowej ujrzałem wszystkich zgrupowanych pod ścianą. Naprzeciw nich widniał mały czarny stożek, który teraz poruszał się lekko z boku na bok i wydawał się gawędzić z nimi — było to i straszne, i śmieszne.

Profesor zamachał do mnie ręką:

— Co słyhać? Czy coś nowego? — ryknąłem mu w ucho, gdyż inaczej przy panującym grzmocie maszyn porozumiewać się było nie sposób.

— Wszystko dobrze, rozmawiamy właśnie z Areanthropem — zawołał Frazer.

Jakoż rozmawiali z nim, a dziwna to była rozmowa. Małym projektorem, lampą magiczną, wyświetlano na ekranie jakieś modele czy szkice, które profesor wsuwał do reproduktora. Robił to tak szybko, że nie byłem w stanie oglądać poszczególnych obrazów, ale on nie zdawał się tym martwić. Było mi trochę głupio, zdawało mi się, że jestem jakby wyrzucony za nawias, jakby niepotrzebny, że stoję z założonymi rękami, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje.

Nagle nastąpiła cisza, dwa metalowe wałki znowu potoczyły się po podłodze i profesor zaczął wysypywać proszek na arkusze przygotowanego papieru.

Były to sploty pogmatwanych linii, zupełnie bez sensu, prostych i krzywych. Obok nich — znowuż te dziwne znaczki, jakby nuty. Tu znowu coś jakby model systemu planetarnego, długie koncentryczne elipsy, ale zmodyfikowane i obsypane gęsto tajemniczymi znaczkami. Wszyscy milczeli, wpatrując się w te dziwne wieści, wreszcie odezwał się Gedevani:

— Ja myślę, że on się źle czuje... przecież to wszystko nie ma sensu, może on chory?

Profesor spojrział na niego tak, jakby chciał powiedzieć: to pan jest chory, ale zmilczał.

— Jeszcze nas dzielą przepaście — powiedział — nie rozumiemy się, nie... — Kazał włączyć prąd. I kiedy zahuczały, zawyły motory, rozpoczynając swoją pracę unisono basowym porykiem, który zatargał stalowymi wiązaniami, rozebrzmiał coraz wyższymi akordami w załomach sklepienia, aż przeszedł w świdrujący wysoki ton grzmiącej mocy — stożek znowu ożył, zakołysał się i nagle począł iść. Szedł niezgrabnie, jakby niepewnie, aż nagle zatrzymały go kable, które go łączyły z generatorami. Był na ich uwięzi — i to mi się wydawało dziwne. Czy on tak chciał, czy się uwolnić nie mógł? Mimo woli zdawało mi się, że biorę jego stronę, że pragnę jego wyzwolenia się, przejścia zakreślonych mu przez nas granic. Nie wiem, jak mam wyrazić te dziwne myśli — zdawało mi się, że coś mnie z nim łączy. Z kimże? Jakiś stwór z szalonego snu, metalowy stożek z galaretowatą świecą masą na kształt mózgu? Profesor wyświetlał teraz równoległe szeregi równań, będących komentarzami do twierdzeń geometrycznych. Te cyfry wydawały mu się najpewniejszą mową, jaką można było pokryć dzielące nas przepaście. Czy na pewno?

Nagle zauważyłem rzecz dziwną. Jak wiadomo, stożek miał trzy macki. Podczas gdy dwie leżały spokojnie na betonie, chwilami tylko unosząc się lekko, trzecia, tylna, jakby coś pilnie dłubała w betonie, jakby coś wierciła, czy też lepila. Metalowy cylinder, będący jej tępym

zakończeniem, wykonywał celowe, pospieszne ruchy. Zdawało mi się, że beton czerwienieje, ależ to chyba było niemożliwe? Nikt nie mógł tego spostrzec prócz mnie, gdyż stożek stał przed nimi, zakrywając sobą swoją tylną węzownicę.

Ależ tak. Oto podnosi tę trzecią mackę, a przy jej końcu coś niewielkiego, czarnego, jakby zębatego.

— Profesorze! — ryknąłem. — Wyłączyć prąd! Na miłość boską, wyłączyć prąd!

Zrozumiałem, co Areanthrop chce zrobić. Cóż to za piekielny stwór! Jego całe zachowanie się to był podstęp — szatańska dyplomacja, on wykorzystał nasz prąd nie celem porozumienia się, ale uniezależnienia od nas. Starał się sporządzić wymontowane części aparatury z jakiego bądź materiału — a skoro umiał niszczyć, z pewnością umiał i tworzyć, budować.

— Wyłączyć prąd!! — krzyknąłem. Teraz wszyscy widzieli, jak macka podnosi się i jak w dolnej części podstawy tworzy się nieregularny otwór o zamglonych brzegach, który pochłonął zębaty mechanizm i mackę, która go tam wniosła i grzebała. Osłupiały Lindsay skoczył do tablicy i pośliznął się. Zamiast wyłączyć prąd, przerzucił dźwignię w kierunku przeciwnym, tam gdzie widniały czerwone zygzaki z napisem: „Moc przetężenia — niebezpieczeństwo!”

Zagrzmiało. Chmura pyłu okryła drgający stożek, kable sypnęły błękitnymi iskrami, wystrzeliły z donośnym sykiem główne bezpieczniki przepięciowe i wszystko ucichło. Ale któż opisze moje osłupienie i zgrozę, kiedy zauważyłem, że stożek żyje nadal, że porusza się, że strząsnął z siebie owe dwa kable jak dwa wiechcie słomy i jednym dotknięciem czarnego końca macki zamknął wywiercony naprzeciw swego mechanicznego serca otwór.

Stożek wydawał się zastanawiać. Sceneria była niezwykła: zamarłe nagle maszyny, bezsilni, wryci w ziemię ludzie, nieruchomi, o szeroko rozwartych oczach, i ten stożek, ten śmieszny stożek, który zataczał się i poruszał, wywijając mackami, jakby namyślając się, jakim czynem rozpocząć swój odrodzony, wolny żywot. Czuję, że mózg mój już znowu gorączkowo pracuje. Co tu robić? Co robić? Zauważyłem, że w kącie hali stoją pociski gazowe i miotacz. Teraz już nie byłem po stronie Marsjanina, o nie! Teraz szło o życie. Ale ta piekielna, stukająca bestia porusza się naprzód, a któż odważy się podejść w zasięg trzymetrowych macek? Oto wyciąga je przed siebie i — o zgrozo — piramidka pocisków rozwała się, zamienia się w jakiś wirujący słup kurzu i znika tak, jakby jej nigdy nie było. Widać jeszcze ślady pyłu na podłodze, na której one stały — odcisnięte ślady łusek — i to jest wszystko. A grzechocący stożek posuwa się po betonie, zatacza kręgi, zbliża się do przedmiotów, zbliża się do ludzi!

Oni usuwają się, dym zagradza im drogę do drzwi. Teraz dochodzi do grupy Frazera, Lindsaya i Gedeva — niego. Profesor stoi z boku, przy ekranie.

— Uciekaj! — słyszę jakiś krzyżący głos, nogi same zrywają się, on ich odcina od drzwi, ale nie ciebie.

— Uciekaj! Im przecież nie pomożesz, uciekaj! Wtedy słyszę spokojny głos profesora: „Jesteśmy nie jakimiś sobie uczonymi, ale delegacją ziemską dla porozumienia się z gościem z Marsa. Czy mam mówić, jak się taka delegacja winna zachować?” Czuję na twarzy rumieniec. Stoję i patrzę — bezsilny.

Stożek zbliża się do trzech mężczyzn. Lindsay stoi, zagryzłszy wargi, bez kropli krwi w twarzy, z płonącymi oczyma, napiętymi mięśniami — rzekłbyś — kariatyda dźwigająca ogromny ciężar.

Wtem rozlega się krzyk. To Gedevani, macka dotknęła go — krzyknął, zbliża się druga i widzę ciało wiszące w powietrzu, fikające nogi, okropny krzyk — nagła cisza. Cisza wali w uszach młotem. Stożek idzie na profesora. Gedevani? Ach, tak, leży przy ścianie, płaski jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Stożek idzie na profesora. Stoją teraz naprzeciw siebie. Jak dziwnie patrzą oczy starca. Jakby urósł. Co się teraz stanie? Macki wiją się po

ziemi, słyszę ich grzechocący klekot. Oto role zmienione: ci, którzy chcieli badać, stoją przy ścianach bezsilnie, jakże głupi w swojej bezsile, drżący — drżący? Nie. Profesor Widdletton skrzyżował dłonie na piersi i patrzy w te wypukłe, świecące dyski szkliste na pancerzu Areanthropa. Stożek rusza, oddala się od profesora — nagle jego macka dotyka starca — i ten wali się na ziemię, jakby piorunem rażony. Stożek na to nie zważa. Idzie ku mnie, stukocze mackami, wali szponami swoich spirali o beton, aż widać pod podstawą iskry i okruchy cementu. Oto staję przede mną — nieskończona chwila. Widzę wszystko jak we mgle, tylko ten stożek czarny, bliski, z wijącymi się mackami... nagle uderzył piorun.

Leciałem gdzieś. Wyło i huczało, jakby orkan. Gdzie ja lecę? — dziwiłem się. Ciało nie ważyło nic, ale temu się nie dziwiłem. Huczało wciąż głucho. Nagle zaczęło się przejaśniać, jakby mi ktoś przecierał wielką zapoconą szybę, przed którą stałem. Co to się działo?

Widziałem pustynię. Ciągnęła się kilometrami, szarozółta, powyścielana złomami głazów, pogarbiona w potężne leje i wydmy piaszczyste, pustynia, nad którą widniało ogromne, straszliwie głębokie, jasnozielone niebo. Jakie to dziwne niebo. Były na nim gwiazdy, ‘choć było i słońce. Było jakby mniejsze, ale grzało mocno, stojąc wysoko, nad samą głową. Pustynia zbliżała się ku mnie. Czy ja leciałem? Gdzie były moje ręce i nogi? Nie było nic. Nie było nic. Nie było mnie w ogóle, tylko oczy, czy może mózg. Ale ja widziałem! Zawrotny lot opadał ku ziemi. Nagle — zobaczyłem. Poda mną, na dole, sunęły jakby dwie gigantyczne kratownice, czy też wieże stalowe, które były worane głęboko w piaski. Opadałem w locie coraz niżej. Wieże posuwały się same — poruszając poziomymi cienkimi ramionkami, na końcu których znajdowały się szerokie lśniące tarcze. I kiedy te tarcze na giętkich ramionach przybliżały się do gruntu, wtedy piasek załamywał się, pękał, jakby pod nim otwierała się nagła pustka, i ginął w oczach. Jego resztki rozpylał huczący, gorący wichur pustynny. Tak rodził się gigantycznej szerokości kanał, który szedł w bezkresy. Po co był ten kanał? Jak działają te maszyny? Ależ to niemożliwe, mówiłem sobie, bo gdzie się podziewa ten wykopany piasek? Przecież nie znika? A jeżeli znika, to kto maszyną kieruje? Pracowały powoli i rytmicznie, za każdym poruszeniem ramion tworząc potężną, regularnego kształtu wyrwę w gruncie, szerokości kilkuset metrów, może kilometra. Wiatr huczał przeraźliwie.

Teraz powietrze poda mną zaczęło kotłować. Zagęszczało się, ciemniało, gęstniało... Boże! Był to czarny metalowy stożek zakończony mackami, który opadał powoli, ruchem wirującym, jak liść z drzewa. Opadł, czarny i mały, przy maszynach i wpadł pod nie. Po chwili wynurzył się, podniósł macki, jakiś szklany kontur zdawał się pęcznić wokół niego. Zawirowało przed oczyma. Czarny stożek zniknął w wirze piaszczystym. Gdzież się podział? Wyteżałem jeszcze oczy, gdy wtę zauważyłem, że dotykam gruntu, obniżam się, opuszczam dalej: zapadałem się w piasek. Chciałem krzyczeć, wołać, ale otoczyła mnie ciemność. Oddychałem swobodnie, ale gdzie były moje płuca? Moje ciało? Byłem tylko oczyma. Czy słyszałem? Tak, słyszałem rytmiczny, daleki, bardzo przytłumiony huk: bomm — i pauza — i znowu: bomm — zapłonęło światło. Nie, to nieprawda, nie było żadnego światła. Jakby to powiedzieć? Nie było światła, ale widziałem. Nie widziałem właściwie oświetlonych przedmiotów, ale wiedziałem, że są. Było to jak uczucie czyjegoś wzroku wbitego w plecy, ale tysiącokrotnie silniejsze. Ogarniał z tego lęk. Czułem, że wokoło jest wiele przedmiotów. Nie widziałem ich, ale wiedziałem o nich. Jakby w przykrym śnie, jakbym sobie nie mógł przypomnieć, nie rozumiałem ich sensu ani przeznaczenia. Były to półeliptyczne hale, ogromne hale pograżone w ciemności, w których przesuwaly się szeregi stożków. Stożki te, trzymając wszystkie jednakowo macki na kształt pętlic na pobocznicy, szły i mijały się, szły i szły wciąż w jednym kierunku. I ja w tym kierunku szedłem. Mijałem jakieś aparaty, które odczuwałem, że są, od razu, ze wszystkich stron, jakbym je widział jednocześnie z góry, z boku i z przodu.

Potężne maszyny, ale bez żadnych części ruchomych, tylko spojone ze sobą fragmenty brył obrotowych, tylko jakieś malutkie cienie, jakby jeszcze mroczniejsze od ciemności punkty,

które chodziły po wypukłych powierzchniach. Huk rósł. Huk potężniał. I uderzyło światło. Czy to były podziemia Marsa? Poszczególne ganki, półeliptyczne hale łączyły się w coraz większe i szersze, już w świetle tonące galerie, którymi wciąż sunęły szeregi stożków. Było to niezwykle, ale jakby zrozumiałe.

I nagle...

Przestwór. Ogromne pole, bo nie mogę go nazwać halą, ciągnące się milami. Olbrzymia, geometrycznie wzdęta przestrzeń. Długi cylinder wystający ponad dwie kule, z tęnym, zaokrąglonym czubem, stał skośnie na łagodnym wzniesieniu. I tysiące, tysiące czarnych ruchliwych stożków. Teraz ujrzałem, że pułap stanowiło półkolistе sklepienie z jakiejś jednorodnej, słabo błyszczącej metalicznej substancji. W środku szczytu ział otwór podobny do leja, w którym świeciło słońce: otwór wychodził na powierzchnię planety...

Nagle uczułem, jak fala przechodzi przez zgromadzone maszyny. Pole stożków zamarło — na podium zgęstniał wir i tam, gdzie przed chwilą było przezroczyste powietrze, ukazał się Areanthrop. Zbliżył się do cylindra i stopił z jego cieniem. Czy znowu się ulotnił? Teraz huk był jakby we mnie samym, natarczywy, głośny, rozkazujący. Zdawało mi się, że trzeba liczyć uderzenia, nie wiem czemu. Przy dwudziestym szóstym uczułem lekkie pchnięcie — drgnąłem — cylindra nie było. Widniał wzdęty, pusty podest i dwie kule, jakby nieco mniejsze. Nad głowami stożków unosił się dym czy też rozrzedzona mgła... potem nie widziałem już nic. Krótką chwilę czułem, że spadam. Czułem w zupełnej ciemności, że znajduję się we wnętrzu pionowej rury, w której opadam powoli, jak kropla oliwy w alkoholu. Opadłem do poziomu nisko sklepionej hali o lekko nachylonej, rowkowanej podłodze. Zgasło wszystko. Jakaś siła kazała mi spojrzeć w górę: nad głową rozwarł się czerwony otwór. W jego głębi zabłysło morze gwiazd Drogi Mlecznej. Na jej tle mknął długi ciemny pocisk z zaokrąglonym dziobem, który wyrzucił z tyłu rozwiany błąd płomień. Pocisk spadał. Na jego spotkanie szła obracająca się tarcza planety: zrazu mała, ale ogromniejszą w oczach, potężniejąc i rosnąc. Ekran znikł, tarcza planety zajmowała już całe pole widzenia, pocisk był małą lśniąca kruszyną, a potwornie wielką, szaro — czarna planeta wyszczerzała się na pół horyzontu, upstrzonego po krajach gwiazdami, szła naprzeciw jak mętny, bezdeny wir.

Wtedy uczułem uderzenie. Zdawało mi się, że było lekkie, ale słyszałem, nic już nie widząc, chrzęst i grzmot, owiał mnie okrutny gorąc i straciłem przytomność.

Otworzyłem oczy. Było zupełnie ciemno i głowa bolała mnie straszliwie.

Co to się stało? Macałem rękoma — beton — co to jest? — beton — a to? — kabel — ach, to hala montażowa. Ale skąd ja się tu wzięłem? Otworzyłem usta:

— Halo! Halo, profesorze! Cisza.

— Mr Lindsay! Cisza.

— Panie Frazer! Halo, to ja, Mc Moor...

Cisza. Gardło bolało, a głowa po prostu pękała. Co się stało? Było doświadczenie, potem — stożek się wyrwał — ach, prawda — stożek — a potem? Czy był sen? I gdzie są wszyscy? Zacząłem się poruszać. Powstałem na kolana, potem na nogi — sunąłem ręką po ścianie, byłem straszliwie osłabiony.

Gdzie ja byłem? Czy nie upadłem przy głównym dźwigarze? Jeśli tak, to gdzieś blisko, o trzy kroki, były kontakty do lamp. Było zupełnie ciemno — mrugałem usilnie: nie widziałem ręki przed oczyma. Oto były kontakty — przekreśliłem je — cisza i ciemność. Ach, prawda, spaliły się bezpieczniki, więc nie ma prądu. Ale gdzie są wszyscy? Grzebałem w kieszeni. Oto zapalniczka — zgrzytnął kamień — nikły płomyk benzyny oświetlił niedużą przestrzeń. Hala była pusta, zdaje się? Światło gubiło się — ogromne pokracczne cienie skakały po ścianach.

Co ta za ciemny twór, tam, może to... Był to Gedevani. Leżał na wznak, jak upadł — przyskoczyłem do niego, szarpnąłem — a tuż obok leżeli Frazer i Lindsay. Leżeli razem, twarzami do siebie, Frazer trzymał przedramię przyciśnięte do twarzy, jakby się chciał zasłonić od ciosu. Szarpnąłem Gedevanie — go za kłapy marynarki. Wydał słaby jęk.

Żyje! Dzięki Bogu — skoczyłem do tamtych. Serca biły, jak skonstatowałem.

Ale gdzie jest profesor? Nie mogłem go znaleźć. Zapalniczka parzyła mi już ręce, poza tym knot zaczął skwierczeć i dopalać się.

— Panie profesorze! — ryknąłem. Staruszek leżał przy przeciwległym dźwigarze, tam gdzie upadł. Tak, tak, przecież on stał przy ekranie.

Szarpnąłem go za rękaw, przewróciłem na wznak. Zapalniczka zgasła, świeciła jeszcze krótką chwilę czerwoną iskrą w ciemności i zapadły mroki.

Macąłem jego szorstką od zarostu twarz — czy oddycha? Zdawało mi się, że nie jest całkiem zimny. Serce? Ach tak, biło. Bardzo słabo i wolno, ale biło.

Pobiegłem, potykając się, do drzwi. Walnąłem głową o jakąś niewidoczną przeszkodę, ujrzałem skaczące iskry — psiakrew! — wypadłem na korytarz.

Wszędzie ciemno. Biegłem na górę. W małej montażowej były akumulatory — latarka — a poza tym: gdzie jest doktor? Może Fink już przyszedł do siebie?

Wpadłem do swego pokoju.

— Mr Fink! — krzyknąłem. Cisza. Macąłem po łóżku: było puste. Fink wstał?

Nic już nie rozumiałem. Wybiegłem jak oszalały na korytarz. Ciemno wszędzie — dotykałem dłonią ściany, niemal biegnąc — to były drzwi montażowej. Otworzyłem je i zdrętwiałem. Na środku hali był podest, przy którym stał Areanthrop i dotykał mackami dużej metalowej kuli, lśniącej w blasku reflektorów. Ale nie to mnie przeraziło. Bo koło Marsjanina stał Fink w pizamie, błądy, z obandażowaną lewą ręką, i zdawał się pomagać Areanthropowi w umocowaniu stalowej taśmy do czegoś wielkiego i czarnego, co leżało za podestem.

— Mr Fink! — zawołałem, ale głos wyszedł z gardła jako ochryply dźwięk. — Inżynierze! — Nie odwrócił się. Powoli, z właściwą mu dokładnością przyciągał jakąś śrubę.

Przestraszyłem się. Bałem się go bardziej, niż Marsjanina. Stożek zdawał się na mnie patrzeć, ale to było chyba niemożliwe?

Stożek grzechotał obok, terkotał — nagle jakby mnie zobaczył. Rzecz straszna. Kiedy stożek spostrzegł moją obecność, Fink spostrzegł ją również. Patrzył na mnie, ale twarz była obca. Zupełnie obca i pusta, choć mnie znał. Fink pochylił się i nie zwracając na mnie uwagi, począł dalej przykręcać śrubę.

— Panie inżynierze! — ryknąłem, bo już mi było wszystko jedno. Strach strachem, ale złość mnie brała. — Co pan robi z tym przeklętym żelaznym bęcwałem? Czy pan zwariował?

Fink nie drgnął. Za to stożek zwrócił ku mnie mackę. Wtedy skoczyłem jak błyskawica za drzwi, trzasnąłem nimi i uciekłem na dół.

Czy gonił mnie? Nie wiem. Wpadłem do wielkiej sali na parterze i począłem zbierać kawałki gumy, celulozoidu, papieru, potem zapaliłem je zapalniczką i przy ich skąpym świetle znalazłem akumulator. Ten dał mi prąd do pomocniczego reflektora. Nareszcie miałem światło. Zająłem się ludźmi, leżącymi tak bezwładnie, jak ich zostawiłem. Ogarnął mnie strach. Czy i oni oszaleli, jak Fink? Co mu się stało — czyżby zwariował jeszcze od tego uderzenia prądem?

Pierwszy przebudził się Frazer. Jęknął głośno i począł wymiotować. Gedevani leżał nieprzytomny jeszcze długo — tymczasem otworzył oczy Lindsay. Najwięcej martwił mnie profesor. Robiłem mu sztuczne oddychanie ostrożnie, by nie połamać w niedźwiedziej przysłudze żeber, i przeklinałem nieobecność doktora. Z drugiej strony bałem się ich opuścić, bo nie wiedziałem, co ten przeklęty stożek robi na drugim piętrze z inżynierem.

Nareszcie powieki w bladej, zapadłej twarzy podniosły się i oczy moje spotkały się z lśniącym ciemnym spojrzeniem starego uczonego. Chwilę krótką patrzył, zamknął oczy, aż się przestraszyłem i potrząsnąłem nim w troskliwości może za silnie.

— Ostrożnie, Mc Moor, ja jeszcze żyję, wbrew pańskim usiłowaniom — dobiegł mnie słaby szept. I bladej cień uśmiechu przemknął po twarzy staruszka. Podniosłem go, posadziłem i przyniosłem wody ze zbiornika. Po chwili mógł już mówić. Pierwsze jego słowa

były:

— Czy pan też widział Marsa?

Musiąłem zrobić głupią minę, gdyż zniecierpliwiony dodał:

— No, nie udawaj pan głupszego, niż pan jest. Czy nic pan nie widział, jeśli pan woli, nie śnił?

— Ach, to — zawołałem. — Tak, śniłem czy też miałem taką halucynację...

— O tym potem — powiedział profesor. — Zdaje mi się, że mogę wstać. Na opowieści będzie czas inną razą, jak mówi pan Gedevani. Co on porabia i reszta?

— Żyją wszyscy.

Podszedł do nas Frazer, który dyszał ciężko i twarz miał zielonkawą.

— Profesorze, chwała Bogu, pan żyje...

Lindsay stał oparty o filar i ocierał czoło chusteczką.

— Tak, żyjemy, ale mam straszny zawrót głowy...

— Co się stało z Areanthropem? — spytał profesor. — To najważniejsze, póki jeszcze zapiemy. Przeszanę się troszczyć o niego chyba po śmierci — dodał ze słabym uśmiechem.

— Profesorze, to podstępne żelazne bydlę jest w małej montażowej.

— Co! Skąd pan wie!?! — Mężczyźni od razu wyzdrowieli. Nawet Gedevani usiłował podnieść się na nogi.

— Byłem tam... proszę mi wierzyć... chociaż takie niesamowite działy się rzeczy, ale, dalibóg, przysięgam, widziałem, bo tam się palą zapasowe światła, Fink pracuje z Marsjaninem.

— Chce pan powiedzieć, że nad nim? Że mu się udało znów go unieszkodliwić? — spytał szybko profesor.

— Nie, chcę powiedzieć to, co mówię: widziałem, że Fink pracuje jakby pod kierownictwem Areanthropa. Wołałem go po nazwisku... pytałem, a on nie odpowiadał.

— Może to nie był Fink? — spytał Gedevani. Nie miałem do niego cierpliwości:

— Nie, to była moja ciocia. Panie profesorze, czy pan mi wierzy?

— Wierzę panu, stary osioł ze mnie... Ale to i wasza wina. Nie pańska — dodał nie podnosząc głowy, gdy zdziwiony spojrzałem na niego. — Pan jedyny z nas był najbardziej praktyczny i nieufny, a my chcieliśmy się zabawić w doświadczenia: ot, spętać baranka i dalej, na stół operacyjny. Masz tu baranka. — Skończył, uderzając pięścią o dźwigar, przy którym staliśmy. — Teraz zastanówmy się, co robić. Czy są tu jakieś okoliczności do siedzenia?

Było kilka trójnogów. Profesor zaczął się sadowić na jednym, krzywiąc twarz.

— Nie ma co się zastanawiać, to jest koniec. Trzeba poszukać Burke'a, niech da automobil. Ja jadę — powiedział Gedevani, któremu wciąż było niedobrze.

— Odbieram panu głos — profesor już przyszedł do siebie. — Będziemy się naradzać nie nad sposobem ucieczki, ale nad tym, co dalej robić z nim. Aha, jeszcze jedna rzecz: gdzie jest doktor?

— Nie widziałem go dzisiaj, a gdzie był rano?

— Miał zaglądnąć do pana, a potem chciał zrobić jakieś doświadczenie z tym płynem centralnym w laboratorium — odpowiedział Frazer.

— Proszę panów — twarz profesora ściągnęła się — nie ma czasu na ględzenie i koszałki — opałki. Czy są jeszcze pociski gazowe?

— Są na dole, ale nie wiem, czy on ich nie zniszczył — powiedziałem. — Kiedy braliśmy je, zostało jeszcze dobre trzydzieści sztuk. Pójść można, bo zdaje się, że Marsjanin nie opuszcza Finka.

— Panowie — powiedział profesor — chociaż może komuś wskazówki moje mogą wydać się dziwne, zarządzam tak: proszę przynieść pociski gazowe, naładować miotacze i skierować na drzwi. My z maskami będziemy siedzieć tu i każdy opowie, co widział w czasie swojej...

nieprzytomności. Może to nam co pomoże. Jeśli idzie o mnie, to wiem na pewno więcej, niż bym chciał wiedzieć. Proszę, czy ktoś jest przeciwny?

Przeciwnych nie było. Poszedłem z Lindsayem, który ze wszystkich czuł się najlepiej, i za piętnaście minut siedzieliśmy już w sali, obłożeni pociskami, trzymając w rękach sznurki pociągowe zapłonu miotaczy. Wyloty ich były skierowane na drzwi.

— Jestem przekonany, że przed zatruciem zdoła on nas jeszcze przeprowadzić na łono praojców — zawołał profesor. — Proszę, niech nikt się nie łudzi. Złudzenia są zdrowe tylko czasem i w miarę, poza tym człowiek bez złudzeń zawsze działa śmielej. A teraz proszę, niech ktoś skoczy na górę po doktora, tylko nie zbliżać się do małej salki.

Pobiegłem na górę. W laboratorium było jednak głucho i ciemno. Daremnie wołałem i szukałem. Wróciłem bez żadnych wieści.

— Dziwne — powiedział profesor. — No, ale najpierw musimy się zorientować, nim zaczniemy działać. Chciałbym coś od was usłyszeć. Mc Moor, pan opowie pierwszy, co pan widział w tej „halucynacji”, jak ją pan nazwał.

Zacząłem mówić. Kiedy skończyłem, zapanowała krótka chwila ciszy.

— Tak, w zasadzie znam te uczucia, tak. — Profesor poprawił okulary. — Przeżyłem rzeczy podobne, choć daleko więcej szczegółów. Jakie są pańskie wnioski?

Coś mi zaświtało.

— Myślę, że to była scena wysłania z Marsa rakiety na Ziemię, a potem jej droga przez przestrzeń międzyplanetarną... Reszta, no, to są, te, hm, zwyczaje i obyczaje marsjańskie, techniczne urządzenia...

— Bardzo dobrze. — Profesor mówił tak, jakby chwalił ucznia za dobrą odpowiedź. — Bystry chłopak z pana, Mc Moor... Kiedy pan zaczął głądzić o śnie i halucynacji, obawiałem się, że pan na głowę upadł, szczerze mówiąc. Powiem panu prawdę: ja też jestem... to jest, hm, pochodzę ze Szkocji... ccss — zauważył widząc, że się rozpromieniłem — teraz nie mamy czasu witać w sobie ziomek. Więc ja myślę, że on, dotykając nas swoją macką, pobudzał pewnym ładunkiem energetycznym nasze mózgi do takiej pracy, jaką sobie życzył wywołać.

— No to po co była ta komedia z cylindrami, magicznym proszkiem itd.? — spytał Frazer.

— Jasna rzecz: wyjeżdżając z Marsa, nie wiedzieli, jak sędzę, kogo tu na Ziemi spotkają, czy nieprawda? Więc tak się uzbroił na wszelki wypadek, no a tutaj to już zachowywał się, mogą rzec, tak, jak myśmy chcieli... dopóki musiał, to znaczy dopóki nie przystosował się do naszej atmosfery i nie naprawił wyrządzonych mu przez nas uszkodzeń. Moją bezgraniczną głupotę wykorzystał...

— Panie profesorze — przerwałem — nie uważam...

— Moją bezgraniczną głupotę, powiedziałem, powtarzam — kiwnął głową staruszek — wykorzystał do tego, aby w czasie, gdy ja z dziecięcą naiwnością zabawiałem się pokazywaniem mu alfabetu czy uczyłem go abc geometrii, móc uniezależnić się od nas i basta. Chciałbym tu mieć doktora z jego systemem elementarza — dodał zirytowany — to on mnie namówił na te figle... No, mniejsza z tym, nie warto robić wyrzutów, ale cośmy byli głupcami, tośmy byli.

— Panie profesorze — powiedział Frazer — gdybyśmy byli zaczęli inaczej, on też byłby wykorzystał czas, kiedy miał nasz prąd do dyspozycji, przecież wystarczyło mu na to parę sekund. Opowiedz pan lepiej, co pan widział.

— Co ja widziałem? Hm, żebyśmy mieli opowiadać tylko po to, żeby było wesoło, tobym nic nie mówił, ale moja głowa, starzy przyjaciele, jest teraz taka pusta. Chociaż — dodał z błyskiem w oku — ja się nie poddaję. Bo dla mnie poddać się to znaczy umrzeć.

I pociągnął tak mocno za sznurek miotacza, aż Gedevani podskoczył.

— Widziałem tarczę Marsa tak jak i wy, moi drodzy... — mówił zniżonym głosem Widdletton. — Byłem na jego powierzchni, nie czas teraz opowiadać dokładnie, widziałem

maszyny do przemiany materii w energię, widziałem, w jaki sposób przenoszą się oni z miejsca na miejsce.

— No, no? — spytałem zaintrygowany. — I jak to się dzieje?

— Pan widział tylko jedno stadium tego procesu i nie rozumiał pan dobrze. Areanthrop wchodzi do pewnego rodzaju kamery odbiorczej z jakiejś substancji przezroczystej i zostaje w niej rozpylony na atomy... i taki sam Areanthrop powstaje w tej samej (czy następnej?) chwili zmaterializowany w dowolnej odległości. Warunkiem jest, żeby tam była odpowiednia aparatura w pobliżu. Te wieże na przykład, które kopią kanały, też służą jako takie odbiorniki...

— Ach tak — zawołałem — więc to tak oni się zjawiali i znikali... Ale jak to się dzieje?

— Nie wiem, są tu dwie możliwości: albo atomy zostają oddzielnie przeniesione przez przestrzeń, albo, jak sądzę, utrata energii i materii w jednym miejscu wszechświata powoduje w drugim punkcie, specjalnie jakoś z tamtym zrównoważonym, powstanie takiej samej konfiguracji atomów i molekuł, aż do ostatniej drobiny.

— A po co są te kanały, czy nie wie pan, profesorze? — spytałem. — Śmieszna byłaby myśl przy ich technicznej doskonałości, że oni uprawiają ziemię i muszą ją nawadniać. Zresztą na powierzchni nie widziałem nic prócz piasków, tylko pod nią... na górze jest jedna wielka pustynia.

Profesor uśmiechnął się dziwnie.

— Nie cała, drogi Mc Moor, nie cała... Są tam cudownie piękne okolice, lasy drzew o purpurowych liściach, zagłębienia terenu wypełnione słońcą, czarną wodą... na brzegach łążą miriady owadów uzbrojonych w sporządzone przez siebie narzędzia... w rogi, szczęki, nawet pewien rodzaj pocisków, są takie, które wyrzucają na pewną odległość zatrute żądło... w wodzie krążą świecące i fluoryzujące cienie jakichś innych zwierząt... ale wszystko to w panice ucieka, kryje się, ginie pod kamieniami, na dnie, w powietrzu, gdy zbliża się choć jeden pan Marsa, Areanthropos.

— A więc oni też...? — spytałem. — Oni też opanowali powierzchnię planety, wyciskają i tępią inne zwierzęta?

— Jak to też? — spytał profesor. — Alboż my umiemy tępić na przykład owady? Nasze środki są dziecinadą... O, oni umieją zabijać... ale mają ważniejsze rzeczy w swoich żelaznych pokrowcach... — A na nasze zdziwione spojrzenia dodał: — No, nie w głowie mają te rzeczy, bo przecież są bezgłowi... ale nie przerywajcie mi ciągle. Otóż jest to kraj straszliwie smutny mimo wszystko, bo nie widziałem w ogóle celu w ich działalności, owszem, jakiś czas mogłem podziwiać samoczynne maszyny, czasem jakiegoś Areanthropa, który zniszczył na znaczną odległość niepotrzebny czy przeszkadzający występ skalny, czy też odwrotnie, wyczarował jakiś materiał z niczego... Oglądałem te eliptyczne hale, owe podziemia, gdzie nie widzi się, ale czuje wszystko jakby cudownym zmysłem, ale nie rozumiałem sensu ich działania, nie widziałem celu, tylko przeładowanie zdumiewającymi szczegółami. Czy mają instynkty ludzkie? Czy czują? Czy kochają? Nienawidzą? Po co przybył ten oto, co nas tak zadziwił, na Ziemię? Mc Moor, czy pan się nad tym w swoim widzeniu nie zastanawiał?

— Nie, muszę przyznać, że byłem zbyt oszołomiony, profesorze...

— To źle... Ja nie chciałem się dać pokonać tej straszliwej obcości, zdumiewającej mnie jako człowieka, jako uczonego, wreszcie jako reprezentanta Ziemi... Ja chciałem widzieć przez to, poza tym. Było to ogromnie trudne, bo wielu zjawisk nie mogłem zrozumieć. Jak oni żyją? — pytałem. Dobrze, widziałem, widziałem, jak przesuwają się bezgłośnie, myślałem tak: być może ja widzę tylko część zjawisk. On, powalając mnie na ziemię w to widzenie marsowe, nie mógł obdarzyć nowymi źródłami odczuwania. Bo chociaż widzieliśmy niby w ciemności, to rozumiałem to jako pewien impuls, który wprowadził w ruch moją korę mózgową przy zamkniętych oczach, jak we śnie na przykład, ale, myślałem, może oni odczuwają jako

rozkosz fale ultra — czerwone? Czy promienie kosmiczne? Może jakieś inne działanie materii? Sądzę, że jeżeli pojęcie śmieszności jest Marsjaninowi dostępne, to śmiesznym musiałby być dla niego widok człowieka palącego albo pożerającego jakąś padlinę, oblaną jej trupim sosem i zagotowaną w brudnej wodzie... albo też te futerały ze skóry osła i krowy na nogi, te zawijane, pokrajane, pofastrygowane i zszyte w jeden worek rozcięty z przodu, z rurami na ręce i nogi, nasze ubrania... i tak dalej, i tak dalej. Matematyka, tak... technika, ale te śmieszności? Te przyjemności codzienne, jak wódka, no a problem kobiety, to jest w ogóle płciowy?

— Czy pan ma zamiar jeszcze długo wyciągać nas na łożu tortur ciekawości? — rzekł Lindsay. — Proszę pana, profesorze, odpowiedz pan na ten milion pytań.

— Moi kochani, nie myślcie, że ja zapomniałem o tym, że nasz przyjaciel, inżynier Fink, siedzi na drugim piętrze i musi, jak się wydaje, wykonywać rozkazy Areanthropa, który coś robi... działa... nie wiemy, czy przeciw nam, czy przeciw ludzkości? Cóż możemy zrobić?

— Wysadzić cały budynek — zawołał nagle Frazer. — Miny są podłożone pod fundamenty od przedwczoraj, główny zapłon żywiony jest według wskazówki profesora nie prądem sieciowym, ale z akumulatorów...

— Proszę bardzo, beze mnie, a może trzeba się dać wydmuchnąć w powietrze, bo profesor chce bohaterską śmierć? — spytał, drżąc Gedevani. Zdaje mi się, że drżał ze złości.

— Niech się pan uspokoi, siadaj pan. — Profesor uśmiechnął się. — To nam pozostaje jako ostateczność. Jesteśmy blisko wyłącznika i choć nie zapomniałem o nim ani na chwilę, dziękuję panu, Frazer.

— Miałem go przecież pod ręką w owej chwili krytycznej, kiedy Marsjanin mnie... hm, mnie fiksował, zanim nas jednym dotykaniem nie wysłał na Marsa.

— Jak to!? — krzyknęliśmy, a ja dodałem: — Profesorze! I pan nie nacisnął? Ja byłbym to zrobił jakem Szkot!

— A ja czekałem — powiedział profesor. — Myślałem prosto: po co on ma nas zabijać? Co mu z tego przyjdzie? Wiedziałem już, że to diabelnie mądry stwór, i właśnie dlatego nie ma potrzeby nas zabijać: bo korzyści z tego dlań żadnej, szkodzić mu już nie mogliśmy, a rozkosz mordowania? Niestety, wierzę, że ta tylko człowiekowi jest właściwa... — dodał ciszej. — Chciałem wypić do końca tę czarę, i nie żałuję. Nie wiem, może ten nasz gość szykuje z nieszczęśliwym Finkiem aparaty do zniszczenia świata, może oni chcą nas wydusić, by skolonizować ziemię, może im ciasno u siebie?

Wstałem:

— Jak to, a my tutaj tak siedzimy beczynnienie? Dopóki ruszam jeszcze małym palcem...

— Siadaj pan, siadaj pan! Czemu pan nie ruszył palcem rano? — powiedział profesor. — No trudno, on właśnie jest od nas silniejszy. Czy zwróciliście uwagę na to, że dla niego czas jest czymś całkiem innym niż dla nas? Jak sprawdziłem, on nie zużył całej sekundy na zapisanie dwu cylindrów metalowych... ale to jeszcze nic. Przez dotknięcie swoją macką, trwającą część sekundy, może kilka sigma, wprowadził nas w stan zdumiewającego snu czy też widzenia, którego treść, jestem pewny, w ułamku sekundy dla każdego sporządził i przekazał. Nasze myśli, moi panowie, toczą się wobec tego jak ślimaki. Czy nie pojmujecie, że nawet przy wszystkich innych warunkach równych, gdy my poznajemy jedną prawdę, on w tym samym czasie zdolny jest poznać ich tysiąc!?

— Profesorze — powiedziałem — wiemy wszystko, racja. On jest silniejszy. A więc mów pan, odpowiedz pan na pytania, przez siebie postawione.

— Moi przyjaciele — odpowiedział Widdletton — ogromnie mi ciężko. Jak łatwo coś zniszczyć, a jak trudno naprawić. Są różne prawdy: twórcze, ale są i łamiące. Dlatego waham się...

— Co pan mówi? Nie rozumiem pana. Czy pan może ukrywa przed nami coś strasznego? Może oni krwią się żywią, może wyrzynają się nawzajem, może zjadają? —

rzekłem. — Różnij pan śmiało, profesorze, znamy to... ze stosunków ziemskich i co nas jeszcze może przerazić? To śmieszne.

— Nie, drogi przyjacielu, to jest straszne — powiedział profesor — bo to, co ja widziałem, to, co widziałem, zburzyło moje pojęcie o wszystkim. Zewnętrznie niby taki sam jak przedtem, prawda? A jednak jestem od was różny. Wiem już, jaki cel i sens ma życie — zawahał się. — Ja byłem na południowej półkuli Marsa — powiedział i grzmiącym głosem dodał: — Czy ktoś jeszcze był na południowej półkuli?

— Ja widziałem to samo co Mc Moor — powiedział Frazer.

— Ja też — rzekł Lindsay — widziałem sieć kanałów wypełnionych jakąś cieczą i maszyny... Mów pan, profesorze, mów pan...

Starzec pochylił się, twarz mu zbladła.

— Tak, ja byłem na południowej półkuli — powiedział takim dziwnym głosem, że zrobiło mi się zimno.

— I co pan tam widział, do licha?

Profesor otworzył usta. W tej chwili drzwi się otworzyły i jakaś postać wpadła do sali, zataczająca się, dygocąca, która po kilku krokach zwała się na ziemię.

— Doktorze! — zawołałem. — Doktorze!

Leżał nieprzytomny. Z rozciętego czoła spływała krew, znacząc ciemną smugę na zaprószonym betonie podłogi.

Próbowaliśmy go ocucić. Wyciągnąłem jego futerał z ampułkami — wszystkie były strzaskane. Oddychał powierzchownie, charcząc, aż dziwne było, jak dostał się o własnych siłach do hali.

— Gdzie Burke? — spytał ktoś. Nikt nie odpowiedział.

Doktor otworzył oczy i jęknął. Z ust wypłynęło mu trochę krwi.

— On ma jakiś wewnętrzny krwotok — powiedziałem przestraszony. — Profesorze!

Profesor stał nieruchomo.

— Nie jestem wszechmocny, Mc Moor, nie jestem wszechmocny... Obawiam się, że nasz przyjaciel kona.

Jakoż oddech doktora urywał się co chwila. Rozpiąłem mu koszulę i zauważyłem straszliwe, sinokrwawe podbiegnięcia na klatce piersiowej.

— Ależ jego ktoś dusił — zawołałem. — On ma połamane żebra.

Doktor otworzył oczy po raz drugi, coś, jakby błysk przytomności, zaświeciło w nich. Otworzył usta, znowu wypłynęła struga krwi na brodę i ściekła po gorsie koszuli.

— Przyjaciele... — szepnął doktor i zrobił gest, jakby się chciał unieść.

— On chce mówić. Nie wolno panu, niech się pan nie wyteża! — zawołałem, ale spojrzał na mnie tak, że sam go pierwszy uniosłem, ostrożnie podtrzymując głowę. Począł szeptać z przerwami, wywołanymi przez coraz silniejszy krwotok:

— Wysadzić... wysadzić wszystko... — zacharczał. — Zniszczyć go, już, za chwilę może być za późno...

— Co się stało? Co się panu stało? — pytaliśmy jeden przez drugiego.

— To Fink... to Fink... widziałem... widziałem...

Co on mówił o Finku? Nie mogłem niczego zrozumieć.

Głowa doktora w moich rękach robiła się coraz cięższa.

— Wszystkie miny, zaraz, zaraz, wysadzić — tracił przytomność.

— Czy on majaczy? — powiedział Frazer.

Ostatni, potężny błysk zapłonął w oku doktora. Wypluł ogromny skrzep z płuc, zachłysnął się i powiedział niemal normalnym głosem:

— Wysadzić zaraz cały budynek, bo pewna zguba dla wszystkich. — I, ciszej: — To Fink... Fink... tam.

Głowa opadła na bok. Wziąłem go za puls: nie bił.

— Nie żyje.

Postaliśmy nad martwym ciałem. Co robić?

— Trzeba pójść na górę zobaczyć, co się dzieje z Finkiem i starać się go uratować — powiedział profesor. Potem wysadzimy budynek. Po tym, co ja wiem... otóż myślałem, że może się myłę, chciałem po ludzku zrozumieć tę straszliwą wizję, teraz widzę, że miałem rację. To nie były upiorne zwydy, to było gorsze: to była rzeczywistość.

Potem wyprostował się; i dawnym silnym głosem powiedział:

— Panowie, kto pójdzie na górę? Zgłosiłem się ja i Lindsay.

— Dosyć z pana — rzekł Widdleton. — Chodził pan już po pociski gazowe i po doktora, widział się już pan z Areanthropem, dosyć. Pan pójdzie, inżynierze... na własną odpowiedzialność!

Te słowa w ustach starca kazały mi drgnąć, ale opanowałem się. Lindsay ściągał pas od spodni. Profesor powiedział do niego dziwnym głosem:

— Czy ma pan rewolwer?

— Po co mi rewolwer? — inżynier zdumiał się. — Przecież Areanthropowi kula nie zaszkodzi.

— No tak, Marsjaninowi nie... na pewno nie — powiedział profesor i nagle podszedł do jednej z szafek, grzebał chwilę i wręczył Lindsayowi czarny płaski browning.

— Weź pan to, na wszelki wypadek.

Inżynier patrzył chwilę na lśniącą broń, ważył ją w ręce, potem wzruszył ramionami i wyszedł, świecąc sobie latarką. Staaliśmy w drzwiach, Frazer został przy miotaczu, Gedevani przy wyłączniku min, a ja i profesor wyszliśmy na korytarz. Napięła się cisza. Nie mogłem tak stać i czekać.

— Pójdę tylko do podnóża schodów — zawołałem i ruszyłem.

Zatrzymał mnie silnym pociągnięciem za surdut.

— Pod słowem honoru, Mc Moor?

— Słowo, profesorze! — zawołałem i biegłem już do podestu. Widziałem w ciemności, jak słaby odbłask latarki inżyniera krąży po kondygnacji schodów coraz wyżej i wyżej. Potem rozległy się jego kroki na poziomie drugiego piętra — usłyszałem, jak lekko rozwarły się drzwi małej montażowej — potem zaległa cisza.

Puls walił mi w skroniach, mięśnie napięły się, stałem w atramentowej ciemności i liczyłem: 45, 46, 47, 48, 49, 50... nagle huknął strzał. Drgnąłem, skoczyłem ku schodom, ale przekłute słowo wstrzymało mnie. Drugi strzał i trzeci. I nagle po raz pierwszy i ostatni w życiu włosy zjeżyły mi się na głowie. Rozległ się wrzask straszliwej trwogi, wrzask obłąkanego strachem człowieka. Głośny, szybki tupot nóg — strzał zagrzemiał nad samą klatką schodową — i ostry, rozzdzierający wrzask, który potęgował się coraz bardziej — uczułem nagle dmuchnięcie powietrza i jakaś ciemna masa uderzyła może o metr przede mną o beton platformy.

Uczułem, że coś mokrego i ciepłego bryznęło mi na twarz. Skoczyłem naprzód — trysnął snop światła z latarki.

W żółtym kole światła ukazało się zmiażdżone upadkiem z drugiego piętra, straszliwie połamane, z głową wbity w ramiona, ciało inżyniera Lindsaya. Poznałem go po spodniach, a kiedy chwyciłem za ubranie i przewróciłem na wznak, odskoczyłem z okrzykiem zgrozy. Oczy miał wytrzeszczone, z szeroko otwartych ust sterczał język, który odgryzł sobie spadając, i krwawą pianą zalewał twarz. Usłyszałem kroki — był to profesor.

— Obawiałem się — szepnął za mną cichutko, jakby do siebie. — Obawiałem się tego.

— Profesorze, co to jest, Marsjanin oszalał?! Profesor patrzył na mnie długo.

— Mój drogi chłopcze — powiedział wreszcie ze straszliwym smutkiem — to nie przed Marsjaninem uciekał Lindsay tak, że stracił orientację i spadł z dwu pięter... to nie Marsjanin połamał zebra doktorowi...

— A kto? — spytałem, czując, jak mi serce zamiera.

— To inżynier Fink — powiedział profesor, obrócił się i poszedł w ciemność. Ruszyłem za nim. W hali profesor objaśnił Frazera i Gedevaniego o tym, co zaszło.

— Fink! Nie może być, chyba oszalał?

— Nie, on nie oszalał... jeśli brać po ludzku. Moi drodzy chłopcy, nie gniewajcie się, że tak do was mówię, Fink już nie jest człowiekiem. Proszę, zakładamy kapsle wybuchowe, prócz tego dołączymy miny gazowe, niech wszystko pójdzie w strzępy, tak być musi.

— Rezygnujemy więc, profesorze?

— Nie myśl pan, że przez utratę towarzyszy. Nie. Tylko dlatego, że znam już tę istotę na drugim piętrze. Ona i jej podobne nie powinny istnieć. Nie trzeba nam ich mądrości ani wiedzy, ani tej straszliwej, chłodnej doskonałości.

— Profesorze, nie rozumiem pana.

— Nie czas teraz, Mc Moor. Proszę zakładać kable.

Pod kierownictwem Frazera założyliśmy sieć dodatkowych zapalników do wszystkich pocisków gazowych i kruszących, po czym wyszliśmy z sali, ciągnąc za sobą drut zapłonowy z rozwijającej się roli kabla telefonicznego.

Wyszliśmy przez frontową bramę — czekałem na stopniach z rolką, gdy Gedevani pobiegł do budynku służbowego po szofera. Był to pierwszy rozkaz, który wykonał z ogromną ochotą i szybkością. Już za minutę zajechał czarny, znany mi buick, który miał nas odwieźć do miasta.

— Burke! — rzekł profesor. — Podjedzie pan do końca jeziora, jakie pół kilometra stąd, i zaczeka na nas.

Szofer, który zdawał się niczemu nie dziwić, włączył starter. Motor zamruczał i po chwili tylne czerwone światelko limuzyny znikło w mroku nocy.

Było dość chłodno i wilgotno. Profesor szedł pierwszy, a my trzej za nim, przy czym ja niosłem bęben, z którego odwijał się kabel.

Kiedy odeszliśmy jakieś trzysta metrów w bok, polami, kabel się skończył. Wobec tego ułożyliśmy się w suchej bruździe międzypolnej, ja zaświciłem latarkę, a Frazer załączył końce drutów do specjalnego klucza o szerokiej rękojeści i bez słowa, w milczeniu podał go profesorowi. Spojrzałem w stronę domu. Był cały tak ciemny, że niemal niewidoczny, tylko dach z garbem kopułki odcinał się od jaśniejszego nieba. Na drugim piętrze, w skrzydle, widniały trzy okna słabo oświetlone. Na myśl, że jest tam Areanthrop i Fink — jakiś nieznany, straszny inżynier Fink, który nie oszalał, ale zabijał swoich przyjaciół — dreszcz poczułem na grzbiecie. Profesor kazał nam przycisnąć głowy do dna rowu i zacisnąć rękojeść.

Wielki czerwony błysk ukazał się w ciemności. Rozległ się grzmiący, głuchy wybuch, po którym szły łomoczącymi seriami inne, trzask wiązań, hurkot i grzechot spadających maszyn, w językach płomieni eksplozji — grzmot kruszących się i padających mrocznymi skibami ścian. Gruzy sypały się, hurkotały, aż z wielkiego pięknego bloku utworzyło się kolosalne, wciąż jeszcze dymiące i łyskające płomykami osypisko.

Zapadła cisza. Tylko drobne krople dżdżu sypały się z cichym cykaniem na trawę, a na rumowisko z daleka osypywał się miałki gruz.

Profesor powoli wstawał.

— Przyjaciele, skończyliśmy naszą pracę — powiedział. — Jakież smutny to koniec! Trzech wybitnych uczonych przypłaciło ją życiem. Czy dowiedzieliśmy się czegoś? Tak, jednej, jak mi się zdaje, prawdy. Planety są sobie obce. Nie tak obcy są sobie dwaj ludzie: jeden z płomiennej Australii, drugi z lodów bieguna. Nie tak obcy są sobie człowiek i zwierzę, ryba i owad. Łączy ich coś i spaja. Pod jednym niebem wyrosli. Jednym powietrzem oddychają. Jedno słońce ich grzeje. Wspólne prawdy? Tak, są prawdy. Ale każdy ma swoje, dobre tylko dla niego. Tu nie chodzi, moi drodzy, o cenę odkrycia. Idzie o jego sens wyższy. Czegóż jeszcze dowiedzieliśmy się? Czy wydarzyliśmy mu tajemnicę przemiany materii? Nie.

Czy może coś takiego, co nam o nas samych jakieś rzeczy nowe powiedzieć może? Jakąś nową prawdę? Niestety, tak. Ja ją poznałem. I na cóż mi ona, ta prawda. Moi przyjaciele, zmieniałem zdanie: ja wam nie powiem nic. I nie ciekawość, nieszczęśliwa ludzka ciekawość, niech was gnębi, ale wdzięczność dla mnie. Że właśnie nie powiedziałem i nie powiem. Bo ten Marsjanin to był straszliwy twór. Widział, że ja wśród was dowodzę, że jestem najsilniejszy. I pomyślał: żeby go zniszczyć, dość mi zachcieć. I cóż z tego mieć będę? Nic! Ja go złamię. Ja mu oczy otworzę na to, czego on nawet w snach nie podejrzewa. I tak też zrobił. Przyjaciele moi, chcę wierzyć, że Mars już nigdy nie będzie się kusił o zawładnięcie Ziemią. Legły się tam i legły w plazmie, opancerzonej stałą, myśli, którym obce było wszelkie odczucie: wprawdzie obce im były nienawiść i smutek, złość, gniew, wściekłość, ale także i dobroć, przyjaźń, radość i miłość. A cóż człowieka w nauce i do nauki, do poznania pociąga, jeśli nie miłość, miłość prawdy? Czy może coś człowiek bez miłości?

Ziemijskimi słowami mówił apostoł Paweł: „Gdybym językami ludzkimi i anielskimi mówił, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brzęcząca i jako cymbał brzęmiący”. Tak, to są słowa ludzkie. I jestem z tego dumny. Przyjaciele, nam potrzeba zapomnieć. Nie można wytłumaczyć ludziom tego, co wyście przeżyli, jakże ośmieliłbym się ja, którego wystawił na najcięższą próbę przybyś z obcych światów?

Profesor zamilkł. Ubrania nasze nasiąkły deszczem. Wilgotny wiatr przynosił woń spalenizny. Na wschodzie niebo zaczęło szarzeć.

— Profesorze Widdletton — powiedziałem — jeżeli pan nie chce nam powiedzieć, jaką straszną rzecz pokazał panu ten stwór z Marsa na swojej planecie, powiedz pan, proszę, jedno: czy on pana tym pokonał? I, na miłość boską, co się stało z Finkiem?

— Czy on mnie pokonał... — powiedział cicho profesor. — Te dwa pytania się wiążą, wiążą tak ściśle, jak pan nawet nie podejrzewasz. Otóż on właśnie pokonał inżyniera Finka. To nie Fink pod hipnozą, Fink w stanie kataleptycznym, Fink — szalenciec działał... To był tylko zewnętrznie Fink... nie nasz przyjaciel, ale coś, co miało jego ciało, jego nogi i ręce, co nosiło jego ubranie i co nie było inżynierem Finkiem.

— Co pan mówi — zawołałem osłupiały — co to znaczy?...

— Tak, tak, dziwi się pan...

— No dobrze, więc co on z nim zrobił?

— Nie wiem dokładnie, domyślam się tylko... na podstawie mojej wizji. Zmienił w nim coś i zabrał mu coś. Na to miejsce dał mu coś innego.

Byłem zupełnie otumaniony.

— Więc co mu zabrał i co dał — spytałem, przeciągając słowa. — I czy to była może dusza? Może ją na Marsa przekazał czy wysłał?

— Niepotrzebnie pan z takim przekazem używa słowa „dusza” — powiedział cichutko profesor. — Nie, to nie była dusza. Ja panu tego powiedzieć nie mogę, drogi panie, bo to zahacza o to, czego mi powiedzieć nie wolno. Ale ja panu powiem tak: po pierwsze, więc on mnie nie złamał. W najgorszej, najcięższej chwili przypomniałem sobie, kim jestem i kogo kocham. Może to mnie uratowało? Bo trzeba mieć trochę wiary... jeśli nie w sobie, to za sobą... choć lepiej i w siebie, i w drugich, by móc czegoś dokonać. A po drugie, spróbuję panu, no nie wytłumaczyć, ale zbliżyć panu ten problem inżyniera Finka z innej strony. Pan wie, że można poruszać dowolnie mięśniami ciała, prawda?

— Naturalnie.

— No dobrze, a jak się to dzieje?

— Są różne teorie — odparłem — ale o ile ja wiem, to mechanizm woli jest nieznan.

— Panu, ale nie mnie, żeby było ściśle — powiedział profesor — i chwała Bogu, ale jak pan czasem leży spokojnie, to jeden czy drugi mięsień kurczy się jakby samowolnie, zadrga, a pan to może obserwować, czy tak?

— To mi się zdarzało — odparłem. — Myślę, że to się każdemu przytrafia.

— A kto w tym drugim wypadku działa?

— O, ja wiem — powiedziałem — może się jaki kwas mlekowy w mięśniach wytworzył, a może w korze mózgowej jakiś prąd skądś przybyły odpowiednio centrum zadrażnił...

Profesor kiwał głową i uśmiechał się.

— Widzę, że pan dobrze pamięta tę swoją medycynę, ale to nie jest takie proste... Jeżeli pan zna te różne teorie o działalności mózgu, to musi pan wiedzieć, że niektórzy uczeni właśnie w takich prądach i zadrażnieniach upatrują przyczyny działalności dowolnej?

— No tak, ale są i inni...

— Zostawmy innych, żeby się nie rozpraszać. A więc to, co jedni nazywają mechanizmem dowolnym, jak się okazuje, czasem działa nie bez, ale nawet wbrew naszej woli. Ja nie mówię, naturalnie, o przykurczach mięśni zmęczonych, wtedy sprawa jest jasna, ale o drganiu mięśnia całkowicie normalnego w spoczynku...

Więc to tak jest: jeżeli ten dowolnie poruszany mięsień to jakby symbol inżyniera Finka przed tym... przed nieszczęściem, to ten drugi, który pan sam obserwuje w akcji, dziwiąc się, że on się kurczy, pan czuje jego pracę, ale odbywa się ona całkowicie bez pańskiej intencji, to ten drugi, powiadam, to symbol Finka potem.

I patrząc w świetle na moją twarz, widocznie niezbyt mądrą:

— Panie Mc Moor, nie mogę panu więcej powiedzieć, bo bym musiał powiedzieć wszystko... czego mi zrobić nie wolno.

Było już prawie jasno. Profesor zwrócił się do nas, mówiąc:

— Zanim pójdziemy do Burke'a, który czeka na nas z maszyną, musimy zrewidować ruiny. Jeżeli nawet, jak mam nadzieję, stożek jest zniszczony, to możliwe, że kula centralna ocalała. A to jest właśnie ów twór straszliwy... cóż bowiem winna materia?

— Profesorze — spytałem — czy pan sądzi, że kula sama, bez aparatu, ma zdolność odbudowy, taka bezsilna?

— Nie chciałbym mieć tak bezsilnego przeciwnika, nawet mając pod sobą całą armię Stanów Zjednoczonych — powiedział profesor. — A teraz nie pytajcie mnie, bo nic już więcej nie powiem.

Szliśmy po ciężkiej, mokrej trawie. Pierwszy przeszedłem przez obaloną podmuchem eksplozji bramę i począłem pięć się po gruzowisku. Straszliwa moc wybuchu pogięła najcięższe dźwigary profilowane z maszynowej stali, zmiażdżyła głowice motorów, rozkawałkowała jednolite bloki żelbetonu.

Nagle ujrzałem pod gruzem coś czarnego — przyskoczyłem blisko.

Była to jedna oderwana macka potwora.

— Nie dotykać!! — zawołał profesor. — Jego plazma jest śmiertelna, jego złość nie.

Szukałem dalej. Ujrzałem coś, jakby pogięty kołpak stożka, ale nie byłem pewny, czy to on naprawdę. Potem zawołał nas Frazer — wtłoczony między cegły wisiał strzęp marynarki Finka. Chodziliśmy po rumowisku, od którego wiało jeszcze chłodem pocisków gazowych. Wreszcie odezwał się profesor:

— To na nic. Każę zlać to kilkuset galonami benzyny i podpalić. Wtedy, jeśli jądro nawet żyło, zniszczy je.

I mały, czarny, zgarbiony, ruszył w kierunku bramy wyjściowej. Przeskakując z kamienia na kamień, szliśmy za nim po osypującym się gruzie.

Ruszyliśmy drogą w milczeniu, patrząc na okolicę. W niewielkiej odległości, po prawej, rozlewały się zielone nieprzezroczyste fale jeziora. Nareszcie za zakrętem ukazało się auto jako czarny punkt na szarej taśmie autostrady. W tej samej chwili wschodnie niebo zapłonęło czerwono i żółto i pierwszy snop promieni słonecznych, jak triumfalny salut świetlny, rozpiął się na błękitach. Leżące niskimi pasmami chmury rozbiegały się szybko, oświetlone kremowo i białą. Twarze muskał wiatr pachnący wodą z jeziora.

— I to on nam chciał zabrać to wszystko... — szeptał profesor. Czy dobrze go

zrozumiałem? Nie śmiałem pytać. W milczeniu doszliśmy do czarnego ciężkiego buicka. Burke wyskoczył z maszyny i otworzył nam drzwiczki. Wsiedliśmy — drzwi trzasnęły — krótką chwilę mamrotał starter — fuknęło dymem. Wóz drgnął i ruszył w kierunku Nowego Jorku.

POSŁOWIE: GOLEM Z MARSA

Lata czterdzieste, Polska: fala uchodźców ze wschodu napływa tuż po wojnie do Krakowa, na Śląsk, na jeszcze nie całkiem przez Niemców opuszczone ziemie zachodnie. Jest wśród nich młody student medycyny ze Lwowa, Stanisław Lem. Rodzina jego osiada w Krakowie, on sam kontynuuje studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracuje w Seminarium Naukoznawczym u doktora Choynowskiego i sposobi się do ewentualnej kariery uczonego i publicysty. Prócz tego „bawi się piórem” — pewnie w dużej mierze dla chleba: pisuje opowiadania o tematyce wojennej i sensacyjnej z elementami naukowej fantastyki, zamieszcza w różnych pismach artykuły popularnonaukowe i nawet wiersze. Szczególnie miejsce publikacji utworów literackich i paraliterackich świadczy o tym, że swej pisarskiej działalności autor nie traktuje jeszcze do końca poważnie. Pisze dla periodyków popularnych: „Żołnierz Polski”, „Nowy Świat Przygód”, „Co tydzień powieść”, choć prace swe umieszcza także w „Tygodniku Powszechnym”.

Świeżo wyzwolona od Niemców Polska znajduje się na krawędzi, nie znając jeszcze swego późniejszego losu; funkcjonują jakieś resztki demokratycznych instytucji, resztki wolności słowa, brak ścisłych administracyjnych nakazów określających, co i jak należy pisać, gdzie umieszczać akcję utworu i jaki nadawać jej wydźwięk.

Te pierwsze, nigdy po polsku nie wznawiane próby literackie Lema sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie pisarstwa czysto komercyjnego, tworzono go na zamówienie — w celu zaspokojenia zainteresowań czytelnika popularnego. Ale, jak często się zdarza w przypadku autorów wybitnych, owe juvenilia zapowiadają w załączku późniejsze, pisane już bez taryfy ulgowej książki, są jakby pierwszą próbą chwycenia się za bary z poważną problematyką. Różnorodne więc składniki przetapiają się w tej retorcji i nie sposób zdecydować, co w niej pochodzi z pisarskiej duszy, co z wypróbowywanej przez młodego adepta pisarskiej konwencji, co wreszcie z nastroju epoki czy z zamówienia odbiorców. Właśnie wśród tych prób pisarskich znajduje się Człowiek z Marsa — cała powieść: pierwsze Lema dzieło science fiction, odnotowywane przez bibliografie twórczości, nigdy jednak (poza pirackimi wydaniem fan-klubów SF o znikomym nakładzie) w Polsce nie wznawiane. Trudno dziś zrozumieć, dlaczego nikt nie drukował tej książki. Może dlatego, że była naprawdę niezwykle trudno dostępna: utwór ukazał się w roku 1946, w czasopiśmie „Nowy Świat Przygód”, a ono samo — owoc względnego liberalizmu polityki wydawniczej wczesnych lat powojennych — zostało w epoce stalinowskiej do tego stopnia skutecznie usunięte z rynku, że nawet Biblioteka Jagiellońska nie posiada żadnego egzemplarza. Sam autor nie przywiązywał wagi do swych juveniliów, a krytyka i wydawcy nie starali się zbyt usilnie o zezwolenie na druk, lekceważąc być może utwór wcześniejszy od Astronautów czy Sezamu — tak jeszcze literacko nierównych i zepsutych przez polityczno — naukowy dydaktyzm. Tymczasem debiutancka powieść napisana jest nader potoczyście i sprawnie, utrzymuje czytelnika w ciągłym napięciu, a szczegóły „techniczne” podaje z umiarem i nienatrętnie. Pozostaje sprawa literackiej wartości dzieła — i tu rodzi się kolejna trudność: w pisarstwie Lema ceni się najwyżej łamanie konwencji i prowokację intelektualną. W przypadku Człowieka z Marsa mamy do czynienia z utworem napisanym podług wyrazistych recept, ukrywającym dość głęboko to, co w nim rzeczywiście oryginalne. Powieść zatem trudno przypasować do całości Lemowego pisarstwa, nie skleja się ona dobrze ze znaną dotąd jego chronologią. Było bowiem tak, jak gdyby stalinizm narzucił twórcy pewne najzupełniej sztuczne warsztatowe problemy (wymóg dydaktyzmu, politycznej prawomyślności), psujące następny po Człowieku oraz Szpitalu Przemienienia rozdział jego pisarstwa i właściwie odcinające jego fazę dojrzałą od pierwotnych korzeni. Człowiek z Marsa, widziany spoza późniejszych

Astronautów i Obłoku Magellana jawił się czymś nieuchronnie skażonym i został odrzucony bez czytania.

A przecież powieściowy debiut Lema da się lubić z kilku niebłahych powodów. Przede wszystkim jest to utwór naprawdę ciekawy, który świetnie się czyta. Historia badań nad mechaniczno — biologiczną istotą wydobytą z marsjańskiego pojazdu trzyma w napięciu, bo obiecuje niebezpieczną i pasjonującą przygodę z Innością, a przy tym nie podsuwa żadnych łatwych rozwiązań. W istocie o tytułowym „człowieku” niemal niczego nie możemy się definitywnie dowiedzieć. Uczni biorący udział w badaniach dziwnego cyborga zostają wprawdzie na koniec (w niejednakowym stopniu) wprowadzeni w marsjańską rzeczywistość, ale niewiele mogą lub chcą nam z tego przekazać. Sama istota — hybryda próbuje raczej rzucić piaskiem w oczy Ziemianom — i w samej rzeczy trudno jej się dziwić: badacze chcieliby w niej mieć raz partnera przyjaznych rozmów i porozumień, innym znów razem — posłuszny obiekt podtruwać i wiwisekcji. W podstępnych i groźnych działaniach samotnego przecie i nie w pełni sprawnego „potwora” należałoby zatem dostrzec nie mniejszą dozę heroizmu, niż w wysiłkach walczących z nim ludzi.

Słowo „heroizm” jest tu na miejscu, ponieważ zetknięcie dwu planetarnych cywilizacji Lem przedstawia — pewnie na wzór Wellsa — w kategoriach walki, pełnej poświęceń i bohaterstwa machii, w której stawką jest istnienie i tożsamość człowieka i jego kultury. Człowiek z Marsa jest bez wątpienia jednym z całej plejady utworów napisanych podług wzorca Wojny światów; powstało takich bardzo wiele w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku. Kolejne dziesięciolecia wzbogaciły klasyczną „powieść o inwazji z kosmosu” o aluzje do hitlerowskiego czy komunistycznego zagrożenia. W krajach imperium Stalina powstawała odpowiednia wersja takiej fantastyki przepuszczonej przez polityczne pryzmaty i zapewne już trzy lata później Lem nie mógłby swej powieści napisać, nie przenosząc akcji w środowisko bohaterskich obrońców skomunizowanej ludzkości, nie czyniąc też z najeźdźców karykatury amerykańskich imperialistów (podług tego przepisu powstawali już *Astronauty*). W *Człowieku z Marsa* nie znajdziemy jeszcze śladu takich obowiązkowych koncesji na rzecz propagandy. Rzecz dzieje się wprawdzie w Ameryce, ale chyba tylko dlatego, że stanowiła ona wdzięczne tło dla akcji po części sensacyjnej, po części zaś wprowadzającej elementy najbardziej naówczas zaawansowanej techniki i nauki. Nic dziwnego: w świadomości potocznego czytelnika wszystko, co „amerykańskie”, było wówczas nie tylko fascynujące, ale też — „najlepsze”, „najnowocześniejsze” (Tyrmand i Hłasko — każdy w swych wspomnieniach — pokazują, jak groteskowo bezskuteczne były próby komunistycznej władzy, aby ów stan rzeczy odmienić).

Ze stereotypu „inwazyjnego” — co należałoby może zapisać na plus książce — Człowiek z Marsa wyłamuje się jako dzieło znacznie bardziej kameralne od Wellsovskiego pierwowzoru, przenoszące akcję w wąskie środowisko uczonych i techników — owej awangardy współczesnej ludzkości, awangardy przyjmującej na siebie ciężar spotkania z Innością i sprostania jej w bezpośrednim kontakcie. Nie znajdziemy więc tutaj efektownej batalistyki — raczej próbę inteligencji i charakterów. Pod tym względem powieść przypomina nieco *Solaris* — a scena bezpośredniej, pozajęzykowej „komunikacji” człowieka z zaziemską istotą w obu książkach wygląda analogicznie. Oczywiście *Solaris* jest powieścią nieporównanie głębszą intelektualnie, niepokojącą poznawczo, niejednoznaczna w interpretacji. Przesłanie Człowieka z Marsa znacznie łatwiej zrekonstruować: pisarz zdaje się opowiadać po prostu za integralnością ludzkiej natury — wraz z jej emocjami, etyką miłości i solidarności. „Potworowi” z innej planety nie oddaje się tu sprawiedliwości, przeciwnie — trochę na wiarę przyjąć musimy, że jest istotą diaboliczną i właściwie niegodną poznania. Inaczej niż w książkach późniejszych, Lem w *Człowieku z Marsa* występuje jako bezwzględny apologeta ludzkości, przestrzegający przed jakimikolwiek koncesjami na rzecz Obcych. Wygląda to na tle późniejszych książek tego autora dość zaskakująco, warto więc

zastanowić się głębiej, dlaczego książka jest taka, jaka jest.

Cóż kształtowało *Człowieka z Marsa*? Po pierwsze, na pewno konwencja. Nie zrozumie Lema właściwie ten, kto owego „współczynnika konwencjonalności” nie weźmie pod uwagę. Nawet w najdojrzałszych swych dziełach Lem jako punkt wyjścia bierze jakieś gatunkowe schematy, z których rodem są często różne „nieprawdopodobne” elementy przedstawianych światów (Kosmos rojący się od żyjących istot w Dziennikach gwiazdowych, baśniowe królestwa planetarne w *Cyberiadzie*, sztuczny mózg pragnący władzy nad światem w *Przyjacielu* i *Rozprawie* itd.). W *Człowieku z Marsa* rodem z konwencji jest samo zderzenie ludzkości z nieludzkością, w którym ta pierwsza musi wziąć górę, przeszedłszy jednak po drodze oczyszczającą próbę prawdy. Tak właśnie konstruował swe powieści Wells, który nie tyle interesował się pozaziemskimi stworami, ile samymi ludźmi: to oni przecie, z Biblią w rękę, zbrojni w proste zasady moralne, mieli zwyciężyć Zło i odrodzić się w nowym, lepszym świecie. W pierwszych „powieściach o inwazji” Obcy pojawiają się jak trzęsienie ziemi czy inny tego rodzaju kataklizm, któremu trzeba stawić czoła, nie deliberując o racjach i nie próbując dystansować się od ludzkiej gatunkowej istoty — chyba po to tylko, by powrócić do najgłębszych jej korzeni, odcinając się od wszystkiego, co niegodne człowieka.

Ale powieści Wellsowskie z ducha są także apoteozą nauki i to nauki jeszcze nie zinstytucjonalizowanej, bliskiej indywidualnemu doświadczeniu. I choć Lem tylko w konwencjonalnym cudzysłowie pozwala sobie na wizje samotnych uczonych — dziwaków, konstruujących w domowym warsztaciku urządzenia, o których nie śniło się w instytucjach i uniwersytetach, to jednak zawsze chętnie pokazuje sytuacje wymagające od uczonego natychmiastowej reakcji intelektualnej, sprawdzenia swej wiedzy i umiejętności decydowania w warunkach ekstremalnych i doraźnych. Oto kolejna nić wiążąca go z angielskim mistrzem science fiction i skłaniająca do konstruowania fabuły wbrew życiowemu prawdopodobieństwu: ostatecznie trudno sobie wyobrazić, by nawet w Ameryce udało się tak radykalnie „sprywatyzować” przybysza z obcej planety, zamknąć go w hermetycznym laboratorium z dala od rządowych agencji, prasy, FBI itp. Tymczasem taka izolacja potrzebna jest pisarzowi jak gdyby po to, by ludzkie indywidualności bohaterów zagrać mogły pełnym blaskiem.

Ale *Człowiek z Marsa* to także utwór należący do literatury tuż powojennej, napisany równoległe z innymi sensacyjnymi opowieściami Lema, odpowiadający też na szczególne zapotrzebowania ówczesnej publiczności. Widzę tu kilka istotnych konsekwencji tego stanu rzeczy. Pierwsza wiąże się z najogólniej pojmowaną sytuacją militarnego zagrożenia. Społeczeństwa mające za sobą doświadczenie wojny przywykły do tego, że ich spokój może zostać raptownie zburzony, przy czym groźba przyjść może z najmniej spodziewanej strony: atak na Pearl Harbour, wybuch bomby w Hiroszynie, nalot na Drezno — to typowe dla ostatniej wojny sytuacje, gdy grom spada z jasnego nieba na nie przygotowanych mieszkańców spokojnego dotąd skrawka ziemi. Przy tym nowe, nieznanie często środki techniki bojowej mogą kompletnie zaskoczyć obrońców, oczekujących konwencjonalnych zagrożeń. *Człowiek z Marsa* zdaje się być odpowiedzią na tego typu nastroje, wywołane zresztą przez dwudziestowieczne, błyskawiczne zmiany w dziedzinie techniki bojowej, które przenoszą nacisk ze zwykłych starć orężnych na nie ustającą nigdy walkę uczonych w laboratoriach poza linią frontu. Stąd rodem jest także spowijająca całą awanturę obsesja tajności: uczeni chronią się przed najściem postronnych osób niczym konstruktorzy nowej, nieznannej broni. Akcja utworu stylizowana jest po trosze na sensacyjne powieści o działaniach wywiadu, a opisy ukrytego przed ciekawskimi laboratorium przypominają nieco strony innej Lemowej opowieści z tamtych czasów — drukowanego w odcinkach w „*Żołnierzu Polskim*” *Miasta atomowego*. Cóż się dziwić: zaraz po wojnie podwoje tajnych ośrodków techniki wojennej uchylły się nieco, ekscytując publiczność, która dopiero co dowiedziała się, jakie nowe apokalipsy gotują ludziom uczeni.

Najbardziej znaczący wydaje mi się jednak centralny motyw powieści Lema, którego istotność ująć może uwagi mniej wyrobionego czytelnika. Jest to mianowicie motyw połączenia myślącej plazmy z mechanicznym, perfekcyjnie działającym „ciałem” potwora. Jest w tym coś z przerażeń właściwych epoce i coś najściślej związanego z prywatnymi obsesjami samego autora. W nadzwyczaj ciekawym tekście poświęconym Schulzowi pisał niedawno Stefan Chwin o wielkiej, acz ryzykownej przygodzie ludzkości, jaką była w XX wieku ingerencja nauki w ludzkie ciało. Rozwój technik transplantacji, wszczepianie sztucznych organów, odkrycie bioprądów spowodowały swoistą rewolucję świadomości. „Obraz ludzkiego ciała — pisze Chwin — jako całości nieostatecznej, która dzięki medycznej inżynierii może przybrać nowy kształt, z dziedziny projektów przechodzi w fazę rozwiązań technicznych”.

Związane z tym emocje natychmiast przeniknęły do literatury. „Futuryści rysując ideał «człowieka zwielokrotnionego» akcentują hybrydyczność mechaniczno-cielesnego organizmu wzbogaconego o nowe wszczepione organy”. Optymizmowi Marinettiego czy Boccio — niego przeciwstawiają się liczniejsi może twórcy, którzy w konstrukcji mechaniczno — biologicznych potworów upatrują śmiertelne zagrożenie człowieczeństwa. Literackie mity Golema i Frankensteina robią ponownie karierę w licznych adaptacjach filmowych. Pisarze dostrzegają w nowych technikach medycznych zagrożenie najwyższych wartości. „Detronizacja Boga przez biologię, genetykę i transplantologię dla jednych jest zapowiedzią złotego wieku, dla innych początkiem etycznej katastrofy cywilizacji”.

Druga wojna światowa zdaje się spełniać najgorsze z tych przepowiedni. Z jednej strony uderza w tych latach deprecjacja człowieczeństwa poprzez skrajną mechanizację ludzkiego ciała, oddanie go w pacht medykom — eksperymentatorom z obozowych szpitali, przemysłową utylizację tłuszczu, włosów, skóry itd.; skłonność do traktowania ludzkiej istoty jako dodatku do maszyny, taśmy produkcyjnej, samolotu bojowego lub czołgu. Z drugiej strony umysł — oderwany od zdegradowanego ciała — także ulega redukcji i swoistemu zwyrodnieniu: staje się mianowicie aparatem służącym do wykonywania intelektualnych zadań, „maszyną do myślenia”, której zlecić można każde, nawet najbardziej łajdackie i nikczemne zamówienie. Na tych warunkach współcześni pracownicy nauki oddają swe umiejętności w pacht tyranom czy zbrodniarzom. Tyle lęków właściwych epoce; odnajdziemy tu jednak również prywatne dylematy autora, który — jako medyk — zetknąć się musiał także ze skrajnymi przypadkami instrumentalizacji ludzkiego ciała, ahumanizmu przebranego w maskę czystej nauki. Skutkiem tych doświadczeń jest, jak się zdaje, *Szpital Przemienienia*. Istota z Marsa jest zapewne inkarnacją tego typu obsesji: podzielona na mechaniczny „werk” i oderwaną od reszty ciała, a przez to od emocji, materię myślącą, cała traci wewnętrzną integralność i przekształca się w sprawny, lecz bezduszny automat. Nie wiemy wprawdzie zbyt dokładnie, na czym polega demoniczne marsjańskie Zło, przed którym przestrzega dzielny profesor Widdletton, możemy jednak przypuszczać, że chodzi właśnie o coś podobnego, tzn. o „bezduszność” działania, oderwanie go od wszelkich wyższych motywacji. Wszak takim właśnie automatem, „żywym trupem” staje się opętany przez potwora nieszczęsny inżynier Fink.

Motyw zmechanizowania istot żywych i myślenia odgrywa w późniejszych książkach Lema bardzo ważną rolę i podejmowany jest na kilka różnych sposobów. Może być więc po prostu przyszłością ludzkiego gatunku, obiektywną koniecznością, przed którą człowiek stanie w chwili, gdy jego protezy wspomagające działania mózgu i ciała staną się definitywnie doskonalsze od natury (tak jest w projektach *Summy technologiae* czy w *Golemie XIV*). Może być nieco inaczej: ingerencja mechanizmu dotknie wówczas tylko niektórych aspektów człowieczeństwa, pomagając przystosować jednostki do wymagań społeczności, amputując jednakowoż pewne istotne cechy ludzkiej natury (*Powrót z gwiazd*, *Wizja lokalna*). Na koniec „mechanizacja” przedstawiana może być jako słabość, czynnik w

istocie ubożący (przy pozorach usprawnień) proces myślenia i podejmowania decyzji. Jednostki, których myślenie uległo stereotypizacji, podporządkowane zostało jakiejś konwencji czy algorytmowi, a przez to utraciło spontaniczność, intuicyjność, cechę nieprzewidywalności właściwą funkcjom żywych organizmów, okazują się w sytuacjach zaskakujących i kryzysowych bezbronni w zestawieniu z „niedoskonałością” cechującą myślenie żywe (tak przede wszystkim w *Opowieściach o pilocie Pirxie*).

W *Człowieku z Marsa* autor tylko mgliście sugeruje, jakie są cechy obcej cywilizacji, możemy jednak odczuć swoistą abominację, jaką żywi wobec nieludzkiej sprawności przeciwnika, połączoną (co u Lema dość częste) z fascynacją dla zastosowanych w nim czysto technicznych rozwiązań. Ta ostatnia może nieco dziecinna, ale czyż cała fantastyka nie podszyta jest nade wszystko marzeniem o nowych, doskonalszych od wszystkiego, co dotąd stworzono, zabawkach? Tym razem autor wie jednak, że zabawki produkowane przez cywilizację mogą być śmiertelne — stąd bierze się sformułowane na końcu ostrzeżenie przed kontaktem z nieludzką Obcością.

To jest dla wiernych czytelników prozy Lema najbardziej może w powieści zaskakujące. Późniejsze jego książki przyzwyczyły nas do innej całkiem postawy: bohaterom Lema wolno negatywnie oceniać panujące w innych kosmicznych kulturach porządki, wolno zżymać się na „niemoralność” Obcych, zawsze jednak w końcu akceptują ich prawo do odmienności i starają się pielęgnować cnoty zrozumienia i tolerancji. W *Człowieku z Marsa* inaczej: cywilizacja Marsjan zostaje — ustami profesora Widdlettona — pryncypialnie potępiona i raz na zawsze przekreślona jako ewentualny partner lub nauczyciel ludzkości. Znać w tym raczej właściwą powojennym latom bezkompromisowość — potrzebną, by przekląć i egzorcyzmować takie jak hitlerizm systemy polityczno — społeczne. Nie twierdzę bynajmniej, że marsjańskie porządki odmalowane w powieści to jakaś wyraźna aluzja do ziemskich totalitaryzmów, ale kategorię ton potępienia nosi na sobie znamię epoki. Późniejszy Lem odznacza się większą ostrożnością i skłonny jest do wazenia rozlicznych ras, u podstaw jednak kwestii porozumienia z Obcymi leżą przez cały czas podobne w istocie założenia. Otóż Lem nie bardzo wierzy, aby kontakty z obcoplemieńcami z innych planet lub układów słonecznych mogły zaowocować sukcesem. Fiasko wynikać ma po prostu z zasadniczo odmiennej specyfiki gatunkowej kosmitów, z nieprzetłumaczalności kulturowych i historycznych doświadczeń, z nieuchronnej odmienności poznawczych i cywilizacyjnych poziomów. Gdy tylko problem Kontaktu potraktowany zostaje przez Lema poważnie, tzn. jeżeli nie przekreśli go (jak w *Dziennikach gwiazdowych*) zastosowana konwencja literacka, rzeczywiste porozumienie okazuje się niebywale trudne lub całkiem niemożliwe. Jeszcze w *Edenie* przybysze z Ziemi mogą przynajmniej rozmawiać z mieszkańcem planety (choć porozumienie na gruncie etyki okazuje się raczej iluzoryczne). W *Solaris*, *Niezwyrodnym*, *Głosie Pana*, *Fiasku* o sukcesie na tym polu trudno w ogóle marzyć: ludzie odkrywają, że w istocie dokonują projekcji własnych cech na obce istoty, że „sami ze sobą rozmawiają”, a zysk główny z tych kontaktów to raczej samopoznanie niż porozumienie.

Zestawiając *Człowieka z Marsa* z tymi późniejszymi powieściami, dostrzegamy z pewnym zaskoczeniem, że we wnioskach niewiele się od nich różni: pesymizm co do szans nawiązania wzajemnie korzystnego kontaktu z Obcymi okazuje się bardzo głęboko zakorzeniony w myśleniu Lema. Owszem, dostępny jest nam swoiście behawiorystyczny model interpretowania zachowań kosmity, ale też na tym koniec. Niczego pewnego na jego temat nigdy się nie dowiemy.

Z marsjańskiego przybysza przenieśmy więc uwagę na ludzi: tu spostrzeżemy, iż debiutancka powieść nie tak wiele różni się od późniejszych utworów Lema. We wczesnych swych książkach lubił on wprowadzać w roli głównego bohatera kogoś młodego i nie w pełni zorientowanego w tajnikach świata, który przyszło mu zwiedzać. Oczyma takiego adepta

oglądamy akcję *Astronautów*, *Obłoku Magellana*, pierwszych odcinków cyklu Pirxowskiego; taki jest także bohater *Człowieka z Marsa*. Pozostałe postacie to przede wszystkim profesjonaliści: lekarz, inżynier, fizyk itd. Tak samo będzie w *Edenie*, *Głosie Pana*, *Fiasku*, dość podobnie w *Solaris* czy *Niezwykłym*. Rzecz w tym, iż Lema interesuje człowiek jak gdyby określony wstępnie i zdeterminowany przez swój zawód, skłonny do takich lub innych poglądów lub zachowań z uwagi na odebrane wykształcenie i związany z nim sposób podejścia do problemów poznawczych, obcych istot, innych ludzi itd. W tak pomyślanej galerii postaci uprzywilejowane miejsce zajmują zazwyczaj lekarze: najsympatyczniejsi, najbardziej ludzcy spośród bohaterów Lenia. Trudno nie dostrzec tu ukłonu autora wobec własnej profesji. Przecież jednak psychologia postaci nie odgrywa w *Człowieku z Marsa* żadnej istotnej roli. Książka owa to przede wszystkim pierwsze u Lema studium Inności, próba przedstawienia istoty, po której ześlizgują się niejako narzędzia poznawcze, trudnej do ujęcia ziemskimi kategoriami. I choćby ta pierwsza przymiarka do późniejszych, nieporównanie dojrzałszych kreacji *Obcych* zdała się nam naiwna czy mało wyszukana, musimy pamiętać, że stanowi zaledwie próbę, wstęp do jednego z najważniejszych nurtów twórczości Lema. Problem *Obcych* i kontaktu z nimi jest u niego kluczową kwestią; tu osiągnął niewątpliwe mistrzostwo i zaliczany jest do klasyków gatunku science fiction.

Istnieje zatem kilka niebłahych powodów, dla których warto przypomnieć *Człowieka z Marsa*: jako sensacyjną fantastykę związaną ściśle z czasem, w którym powstała; jako polską inkarnację „Wellsowskiej” powieści o inwazji z kosmosu; jako wreszcie pierwsze studium tematyki, która stanie się później specjalnością autora. Jest jeszcze jeden powód, dla którego młodzieńczy utwór Lema wydaje mi się ciekawy. Nie umiem oprzeć się pokusie czytania *Człowieka z Marsa* na tle zwierzeń autora z *Wysokiego Zamku*. Pisał tam o dziecinnej skłonności do rozbierania na kawałki swych zabawek, do poszukiwania ich „sedna”, konstrukcyjnej zasady. W debiutanckiej powieści dostarczył swym bohaterom „zabawkę”, która — fascynując silniej znacznie niż pocziwe samochodziki lub kolejki — nie pozwala jednakże bezkarnie w sobie dłużyć. *Człowiek z Marsa* to nie tylko wejście Lema w literaturę, ale też — wejście w dojrzałość, dostrzeżenie etycznych aspektów niewinnego na pozór „majsterkowania”. Lem dojrzały kreśli przed nami doktrynę radykalnego racjonalizmu i empiryzmu, tym samym broni prawa uczonych do analitycznej dociekliwości i nieograniczonego poznania; a przy tym świadom jest, że nie ma poznania obojętnego etycznie, że wykraczając umysłem i doświadczeniem poza wytyczone dotychczas granice, ryzykujemy naruszenie zespołu norm określających nasze człowieczeństwo. „Potworność” napotkana w kosmosie stać się może natychmiast naszą własną potwornością. U progu dojrzałości porzucamy realnie istniejące zabawki naszego dziecinnego pokoju dla zabawek zmyślonych — i przekonujemy się wkrótce, zaskoczeni, że te nowe, mgliste i fantastyczne, silniej nas potrafią zranić.

Jerzy Jarzębski

Przypisy:

i Co ciekawe, juvenilia Lema drukowane były w Niemczech, tam też wydano i rozsprzedano w kilku nakładach *Człowieka z Marsa*.

2 Por. L. Tyrmand, *Dziennik* 1954, Londyn 1980; M. Hłasko, *Piękni, dwudziestoletni*, Paryż 1966.

3 S. Chwin, „*Grzeszne manipulacje*”. Historia sztuki a historia medycyny, referat wygłoszony na sympozjum poświęconym twórczości Brunona Schulza w Częstochowie, 22 października 1993.

4 Wszystkie cytaty z maszynopisu referatu Stefana Chwina.

5 Jest to centralny motyw późniejszej znacznie powieści Lema *Głos Pana*.